№ 44. Warszawa, dnia 1-go Listopada 1908-go roku. Rok XLIV



BLUSZCZ

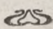
PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesiecznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycja główna: ulica Nowy-Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent- 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Przodownica.



Deotyma, wielkiej miary poetka i wielkiej duszy kobieta, tak określiła ruch kobiecy, którego powstawania i rozwoju uważnym i współczującym była widzem:

„Kobieta się ozwała z żądaniem nieznanem:
Dotąd aniołem była lub szatanem,
Teraz chce zostać — *Człowiekiem*".

Bo w tem właśnie — w tem przedewszystkiem i jedynie — tkwi istota szlachetnie i zdrowo pojętego ruchu emancypacyjnego i te, które go *tak* pojęły, przez to właśnie dosięgły pełni dostojeństwa człowieczego, że potrafiły dorównać mężczyznom nauką i zdobyć tę samodzielność umysłu i życia, która jest ostatecznym kresem pragnień kobiety-człowieka, nie wyzbywając się dodatnich cech kobiecości, nie zaniedbując żadnego z obowiązków kobiety, w najszerszem i najsubtelniejszem tychże obowiązków zrozumieniu.

Nie brak, dzięki Bogu, w społeczeństwie naszem pięknych i jasnych postaci kobiecych, których rozum i serce w doskonałej pozostają równowadze.

Ale zastępu tego Przodownicą, tą, do której po uścisk przyjazny wyciągają się wszystkie dłonie, po zachętę zwracają wszystkie serca, jest czcigodna i ukochana Jubilatka, D-r Teresa z Ciszkiewiczów Ciszkiewiczowa.

Urodzona w r. 1845, spędziła pierwsze dzieciństwo na Litwie, gdzie ś. p. rodzice jej posiadali w Kowieńskiem majątek, Niewieźniki. Jaką zaś była atmosfera domu rodzinnego, pod jakiemi wpływami urabiał się charakter dziewczątka, sądzić można z tego, że już w roku 1855 przeprowadzone zostało w Niewieźnikach uwłaszczenie włościan, zjawisko tak podówczas rzadkie, że nazwiska właścicieli dóbr, którzy pierwsi dali współobywatelom swoim przykład bezinteresowności i uspołecznienia, powtarzano z podziwem w kraju całym.



D-R TERESA CISZKIEWICZOWA.

„Wśród cichej wsi litewskiej" pobierała dziewczynka pierwsze nauki, okazując niezwykłe do nich zdolności i wielką żądzę wiedzy, a jednocześnie z zapałem i gotowością lecząc włościan tak ze wsi rodziców, jak i z wiosek okolicznych. Leczyła, naturalnie, starą, na doświadczeniu opartą metodą naszych prababek, ale zapałowi jej i gorliwości musiało towarzyszyć powodzenie a może też i proste serca poznały się na złotem i jak złoto szczerem sercu młodocianej lekarki – bo gdy w r. 1868 wyjeżdżała z rodzicami do Rygi, z żalem i że łzami żegnały ją tłumy włościan ubolewając, że nie będzie już komu wspomagać ich w chorobie, prosząc, by do nich wróciła jaknajprędzej.

„Wrócę! Wrócę!" odpowiadała wzruszona.

I wróciła — nie do nich wprawdzie, nie na ów zagon rodzinny, od którego oddaliły ją życia koleje, ale wróciła zbrojna w wiedzę lekarską, z rozszerzonym widnokręgiem myśli, a niewygasłem w sercu ogniem...

Wróciła do wszystkiego, co słabe, biedne, opieki potrzebujące i pomocy, wróciła — nie do chat wiejskich, lecz do suteren i poddaszy, gdzie leczyć może ciało, zarówno jak duszę i myśl chorą...

Zanim się to jednak stało, spędziła lat kilka w Rydze na poważnych i gruntownych studyach, które dopełniły jej wykształcenia i pozwoliły jej pojechać przygotowaną na studya medyczne do Bernu w r. 1877.

Nie było to wówczas rzeczą powszednią, aby panna „z porządnego obywatelskiego domu" wyjeżdżała do uniwersytetu obierając sobie medycynę za przedmiot studyów i przyszły zawód życia.

I nietylko niepowszednią, ale nawet bardzo niepożądaną było to rzeczą. P. p. Ciszkiewiczowie mieli bowiem dwie młodsze, niezamężne jeszcze córki i troskliwi o przyszłość panienek sąsiedzi ostrzegali rodziców, że nikt nie weźmie panien, których starsza siostra „poszła na medycynę".

Ale starsza siostra światłych miała i kochających rodziców, którzy za obowiązek sobie mieli każdemu wyzwoleniu — czy to ludu z pęt poddaństwa, czy córce z pęt bierności panieńskiej — rękę podać pomocną.

Z pełnem więc i zupełnem ich zezwoleniem pojechała na studya, które ukończyła w roku 1881. Potem przez lat parę była asystentką d-ra Marcelego Nenckiego, w r. 1883 pojechała do Petersburga dla zdania egzaminu państwowego a w październiku tegoż roku przybyła do Warszawy, gdzie rozpoczęła praktykę lekarską.

W tymże roku zaślubiła krewnego swego inżeniera Alfreda Ciszkiewicza, którego straciła w roku 1885. Owdowiała i bezdzietna, skarbami uczuć, które w swem sercu posiada, hojnie szafuje dla rodziny: z miłością pielęgnowała sędziwe lata matki, która ją przed kilkoma miesiącami osierociła, najtkliwszą będąc matką dla pasierbów,

W miłości tedy i pracy, w tem uznojeniu i męce serdecznej, które są od miłości i pracy nieodłączne, upłynęło 25 lat jej pobytu w Warszawie.

I oto święcimy Jej jubileusz.

Podwójny: bo jest jubileaszem praktyki lekarskiej, — która przyniosła jej zasłużoną wziętość, i rozgłos, i uznanie, pracy i wiedzy należne — a zarazem jubileuszem tej działalności, przez którą d-r Teresa Ciszkiewiczowa stała się — „panią Teresą".

Ocena jej działalności lekarskiej leży po za moją kompetencyą.

Ale o tej drugiej, tej, która nam ją czyni ukochaną i bliską i tytuł jej Przodownicy wysłużyła, dużobym miała do powiedzenia.

Pani Teresa stanęła wśród nas w chwili,

kiedy kobiety polskie — te przynajmniej, które wyrosły nad poziom zjadaczek chleba lub laleczek salonowych — najsilniej czuć zaczęły potrzebę zrzeszenia się w jakiejś pracy ideowej, porozumiewania się co do zadań swoich i celów.

Od pierwszej niemal chwili, instynktem szczęśliwym wiedzione, poczęłyśmy garnąć się ku niej i u niej szukać wskazówek, a ona zawsze przystępna i łatwa, i zawsze czas na wszystko mająca, służyła nam rozumem i sercem i przykładem nas własnym uczyła, jak pracować należy dla tego, co się kocha, jak kochać tych, dla których się pracuje...

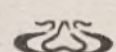
Z tych, które się koło niej zgromadziły, wiele już, wiele odeszło: jedne — w świat zagrobowy, drugie — w świat innych poglądów i przekonań.

Ale te nawet — *pewna jestem* — połączą się z nami w jubileuszowym hołdzie serdecznego uznania i tkliwego wspomnienia dla wszystkim drogiej i przez wszystkie szanowanej „pani Teresy“ — Przodownicy kobiet polskich, nie tylko na polu wyższego wykształcenia i pracy zawodowej, do której otworzyła jej drogę nauka, lecz i na niwie zasług obywatelskich, zdobytych usilną, niezmordowaną gorliwą pracą serca, w którem nie wygasły żary młodości i szlachetnego zapału znicze.

I nie wiam, czego więcej winszować Jubilatce: czy dwudziestopięciolecia praktyki lekarskiej — srebrnego wesela z Nauką — czy tych... więcej niż *złotych godów* z Sercem, zaciągniętem w służbę najświętszych ideałów Chrześcijanki i Polki.

T. Prażmowska.

Dzwony.



Olbrzymi kamienny gród, tysiącem wież kościelnych, jak żelaznymi grotami, wprost w niebo godzący, cichł i przygasał.

Jak ptaki o rozpostartych skrzydłach, jak siwe królewskie orły, przeciągały nad nim ciężkie, żałobne chmury, pokreślonych w czarnym aksamicie mroku sznurami srebrzystych światełek ulicach włóczyły się mgły — jesień była i noc.

Jesień była i noc. Z czatowni swojej mocnej, gdzie straż nieubłaganą od wieków już trzyma, zaczął właśnie wartownik Czasu strącać godziny, urodzone od chwili, gdy słońce posępne jego czoło całowało.

Spadały w mgły, spadały bez ratunku i bez oporu, a było ich dwanaście.

Kiedy ostatnia o bruk uderzyła, na wszystkich tych w niebo godzących, na strzępy chmury rwących wieżach zakołysały się wszystkie dzwony.

Nikt w trwodze nie krzyknął, nikt nawet nie przystanął choćby tylko zdumiony — tych grań przerażających nikt z żywych nie słyszał. One budzić miały, a żywi przecież czuwają.

Budzić miały, więc z chmur płynęły na chmurach, jak na skrzydłach ptaków— jak na siwych, orlich skrzydłach.

Płyną, jak ocean falami, — groźne i smutne, płyną przez pola puste i puste drogi, tam, gdzie krzyży las, gdzie lecą z drzew złote liście.

I oto rozplotły się modlitewnie zaplecione ręce, pootwierały się snem zamknięte oczy. Ręce po deskach wieka błądzą, domagając się: „Puść! — Puść!“ — domagaią się stęsknione oczy.

Aż odskoczyły w górę wżarte głęboko w drewniane krawędzie ztępiałe gwoździe, na wosk stopiły się lutowania, poodsuwały zardzewiałe zasuwy.

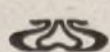
I cienie wstały.

Patrzą chwilę szeroko w tęsknocie rozwartemi oczami na w dal ciągnące, jak klucz żórawi, jak orszak Króla-Orła orły, żałobne chmury, na liście złote...

A potem jedne na własnych poklękały mogiłach, inne do ziemi przypadły, a jeszcze inne uśmiechem goryczy przeprowadzają białą procesyę, która już za bramy wyległa.

Półsłówka.

(FELJETON).



Autor, redaktor i czytelnik. — Protest i protest. — 150 i 6000. — Uczniowie „Liberum Veto“. — Polityka Dardanelska. — Początkująca suchotnica. — Fabryczny patryotyzm.

— Czy mogę Pana prosić — o... feljeton?

— Z przyjemnością — za... 12 kop. od wiersza.

— Och, panie, zbankrutowałbym. Przy tak nizkiej cenie pisma, czyż można tak płacić? Najwyższe honoraryum — 6 kop. od wiersza.

— Horrendum! Fakt wołający o pomstę — nad czytelnikiem. Mięso zdrożało, mieszkania na wagę (chyba — wymiar) złota, ubranie bawełniane po cenie aksamitu, — a pisma, książki, praca literacka — coraz tańsze. Przecież my nie jesteśmy filantropami. Bo gdybyśmy naprawdę kochali ludzkość, to...

— To co?...

— No, to... to... tobyśmy wcale nie pisali.

— Więc jakże z tem honoraryum?

— Ja proponuję tak: ogłosić wiec wydawców pism, uchwalić podwyższenie prenumeraty o 50%, a wtedy płacić feljetonistom po 12 kop. Bo, pytam, czy to jest moralne, by czytelnik miał w Warszawie za 3 kop. olbrzymi dziennik o kilkunastu stronach? Może zapłacić 4, nic mu się nie stanie.

— Ja myślę, że może i 5.

— Niech płaci 5.

— Wie pan, zrobimy umowę: po wiecu będę płacił 12 kop. od wiersza.

— A do tego czasu?...

. . . .

— A niech was, literatów, piorun spali!

— Co kochany pan wydawca tak pioruny w nas dziś ciska?

— No zmiłujcie się, jak można 150 podpisów kłaść pod bezadresową klątwą — klątwą na wszystkich wydawców, — za winy jednego, dwóch, trzech?

— A iluż was jest?

— No, trzech, czterech, może pięciu.

— Więc prawie wszystko?

— A czy wy bez grzechu jesteście? Bo łatwo na nas krucyaty wywoływać, że tam jakiś głupi tysiączek, drugi, dziesiąty egzemplarzy się nadbiło. Panie:—komorne, podatki, personel; panie, to straszne! A czy wy bez grzechu? Czy wziąwszy zaliczkę nie każecie czekać na rękopis, Bóg wie jak długo? Czy nie było wypadków dublowania sprzedaży? Czy...

— Dość!...

— Nie. Nie dość, będę mówił, będę krzyczał, niech się stanie światłość. Tysiące zawodów...

— Dość! Przecież pan nie zaprzeczy, że jesteście wyzyskiw....

— ...anymi.

— Nie, wyzyskiwaczami.

— Protestuję.

— Owszem — piszcie protest wydawców, sprawa na tem zyska, atmosfera się po burzy oczyści, a może się z tego wyłoni jaki zjazd wydawców i autorów, który zkodyfikuje ich stosunki, może...

. . . .

— Widziałeś podpisy autorów polskich na proteście?

— Widziałem.

— Prawda, jak ich dużo! I mają się dobrze mieć! Ciekawym, kto zdąży ich wszystkich czytać?

— Nie tak ich znów wiele, zaledwie 150.

— Tam jeszcze wielu brak, będzie ich ze dwustu razem. Dwustu!

— Przecież nas Polaków na świecie 20 milionów! A Francuzów, np., tylko dwa razy więcej, powinni by oni więc mieć tylko 300 autorów, a tymczasem ankieta przeprowadzona parę lat temu we Francyi wykazała 6000 nazwisk znanych autorów.

— Jezus, Marya!

Do swoich idą.

Do swoich idą, przez pola puste idą i puste drogi, przez drogi i pola, któremi granie dzwonów nadpłynęło — do swoich, do kamiennego grodu.

Rozsypali się po nim z krańca w kraniec, od chat nędzarzy po marmurowe pałace. Każdy domu jakiegoś szuka, każdy do okien jakichś zagląda. Srebrzyste światełka zapalają w ich wciąż szeroko rozwartych oczach djamentowe blaski. Stąpają bez szelestu głuchemi ciszą nocną, strzępami mgieł, jak pajęczyną burą, zasnutemi ulicami...

I drzwi jedne po drugich odmykają.

. . . .

I do drzwi odemkniętych trafić nie mogą i poręczy schodów czepiają się, słaniając.

A z oczu szeroko rozwartych toczą się łzy — pomarły w nich djamentowe blaski.

Do szklanych szyb przylgnęły dwie drobne dziecinne twarzyczki.

Pokój ich. Gniazdko błękitne.

Łóżeczek tylko niema.

Niema łóżeczek, ale za to jest kołyska.

Naprawdę kołyska. Śliczna, cała w koronkowych osłonkach.

— Mamusiu! — wołają z akcentem oburzenia dwa szczebiotliwe głosiki — Mamusiu! patrz! kołyska u nas! U nas, w naszym pokoju!

Jakieś maluchne rączyny trzepią się za koronkami — szeroko rozwarte oczęta otwierają się jeszcze szerzej.

— Mamusiu!.. W tej kołysce jest nawet dziecko!...

Mamusia już nadbiegła. Nie na ich wołanie, na kwilenie słabe i kapryśne. Koronki rozgarnia.

Coś z puchu i róż.

Jak Jezusek z szopki.

— Mamusiu, czyje... czyje to dziecko?

Szczebiotliwe głosiki matowieją.

A mamusia Jezuska z róż i puchu w ramiona bierze, do piersi tuli i pieści i całuje.

— Mamusiu!...

Dwie drobne twarzyczki poszarzały.

*
*   *

Do bram cmentarnych z kamiennego grodu biała procesya wraca.

Wolniej wraca, niż szła. Bardzo wolno. Wszakże z oczu szeroko rozwartych potoczyły się łzy, a takie łzawe mgły gorzej zaciemniają szlak pustych dróg, jak te jesienne — zgrzebne i wilgotne.

Wraca wężem potarganym i długim —cieniom sił brak, wraca w lecące z drzew złote liście — cieniom sił brak.

Kładą się w swoje wystygłe trumny, jak śmiertelnie znużeni ludzie, i jak śmiertelnie znużeni ludzie, przymykają znów do snu oczy, w których djamenty pomarły, i zaplatają znów modlitewnie ręce.

— O Ty, który znasz serca ludzkie, czemuś nam zbudzić się kazał! — krzepnie wraz z nimi na wargach.

*
*   *

Ciężkie, żałobne chmury świt rozegnał i w mgłach, pod lecącymi z drzew złotymi liśćmi rozmigotały się gromniczne płomyki.

W szmery wiatrem poruszanych kwiatów, które różnobarwnym stosem więdną

— To znaczy, żeśmy 20 razy od Francuzów ubożsi duchem. Dwadzieścia razy mniej piszemy, i dwadzieścia razy mniej czytamy.

. . . .

— Pamiętasz, lat temu 15. Jako dorastający gimnazyaliści na głębokiej prowincyi byliśmy najżarliwszymi czytelnikami „Prawdy".

— Nie tyle „Prawdy", ile „Liberum Veto".

— Prenumerowaliśmy w pięciu czy sześciu wspólnemi funduszami, wyrywaliśmy sobie z rąk każdy nowy numer. Czytywaliśmy pod ławką na lekcyach; nieraz przyłapani, tłumaczyliśmy się „uczytielowi", że to taka gazeta, do owijania bułek na śniadanie. I odchodził uspokojony, a myśmy czytali Posła Prawdy dalej.

— A złote słowa tego mistrza umysłu i serca ryte były na naszych wrażliwych mózgach i pozostały niezatarte. Myśli wsiąkły w nas, sformowały poglądy, etykę społeczną, dały pierwiastki siły, męzkości... Tonących w obcej szkole — Poseł Prawdy ratował w nas obywateli.

. . . .

— Więc ostatecznie jak?

— Mówię Ci, że Bułgarya z Serbią.

— Zwaryowałeś, przecież te dwa pokrewne narody i państwa żyją w przyjaźni i nic sobie wzajem nie winny.

— Kiedy tak wypada.

— Jakim sposobem?

— To bardzo proste. Serbia wypowie wojnę Austryi, a Turcya Bułgaryi. Z drugiej zaś strony Turcya Austryi, a więc łącznie z Serbią. Skoro jednak Turek połączy się z z Serbem, to Bułgar, wojując z Turkiem, musi wojować i z Serbem.

— Głupi jesteś, znasz się, jak Anglik na papryce.

— Otóż właśnie, że Anglik zna się nawet na węgierskiej papryce, nie mówiąc już o polityce, a my nie znamy się ani na papryce, ani na polityce.

— Może się i na kwestyi Dardanelskiej znasz? I na osłach Dardanelskich?

— Mój kochany, ja co dzień wszystkie telegramy czytam i wszystkie artykuły polityczne.

— A, czołem, przepraszam, teraz się nie dziwię, że Serbia będzie walczyła z Bułgaryą.

. . . .

— Kto to, ta blada brunetka, której się kłaniałeś?

— Początkująca suchotnica.

— Cóż to za nowa godność.

— Godność ma inną, jest szwaczką, zarabia ból rubla dziennie.

— I suchotnica.

— Tak, początkująca, za rok będzie już zupełnie rozwiniętą suchotnicą.

— Nie leczy się? Taka ładna.

— Ładna, ale się nie leczy, bo nie ma za co?

— Więc co?

— Za dwa lata umrze. Jestem lekarzem i badałem ją. Mówię ci to z całą pewnością.

— To okropne. Trzeba ją ratować.

— Okropne! Napisałem też artykuł o potrzebie tanich sanatoryów dla suchotników..

. . . .

— Słyszałeś o nowem wydawnictwie? „Patryotyzm polski przemysłowy, handlowy i fabryczny".

— Kpisz chyba.

— Mówię, że wyszedł już pierwszy numer, doskonale się przedstawia.

— Cóż to za patryotyzm handlowo-fabryczny?

— A wyobraź sobie! Takie teraz pokolenie. Powiadają, że lepszym Polakiem jest ten, kto włoży pieniądze w urządzenie fabryki makaronów lub butów i postawi wyrób krajowy na wysokiej stopie doskonałości, niż ten, kto nosi orła w krawacie, uszytym w Wiedniu; że lepszym patryotą Polakiem jest kupiec, który eksportuje polski towar do Rosyi lub zagranicę, niż ten, kto z „miłości do ojczyzny" nie chce się od „obcych" uczyć rozumu.

— Dziwy, dziwy, świat się kończy...

. . . .

Gustaw Olechowski.

na granitowej płycie, wsłuchuje się ktoś z za krepy welonu. Wsłuchuje napróżno— trumienki milczą. I zginęły w kwiatach, w tej masie rozszemranych kwiatów, w tym zaduszkowym różnobarwnym stosie dwa dziecinne imiona.

— Tak mi zimno, matuchno... tak strasznie zimno... — skarży się dziewczątko jakieś blade i grzeje skostniałe paluszki przy jednym z takich gromnicznych płomyków.

— Chciałam pójść dziś do ciebie, matuś, wolno było, święto, wszystkie dzwony grały, ale bałam się — tylu umarłych szło... Bałam się. Ja się ich okropnie boję.

A tu, do kolan kobiecych garnie się rozpacznie głowa dziewczyny.

— Matko... byłam. Och, matko, tak dnia tego czekałam. Ramiona mu na szyję zarzuciłam „Jestem” szepcąc. Wzdrygnął się. Mamo, on się mnie przestraszył, przestraszył się mnie mamo, mamo, mnie! mnie się przestraszył!

I w duszę mu spojrzałam...

Mamo, tam inna. Inna... Już inna!

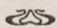
O, matko!

Rena.



Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.



CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

. . . .

Głuchy łoskot sprowadził z drugiego pokoju panny Daleckie.

— Tego jeszcze brakło! — zawołała starsza, widząc Dolę na podłodze.

Młodsza wybiegła do kuchni, w blaszanej kwarcie przyniosła wodę.

— Trzeba pchnąć Małgosię po doktora — zawyrokowała młodsza.

— Ale którego? — zastanowiła się starsza.

— Tego, co ją leczy.

— Nie wypada nam sprowadzać. Toć akuszer.

Małgosia, nie czekając na decyzyę swoich pań, wybiegła bez chustki na głowie, byle prędzej przybył ratunek panience, a że parę razy odnosiła d-rowi Derkaczowi książki, pożyczane Doli, więc biegła wprost do niego.

W kilka minut potem już klęczał nad nieprzytomną jeszcze Dolą, której panny Daleckie nie miały siły podnieść z ziemi.

— Co to? Co się stało? — pytał.

— Różnie bywa — odpowiedziała mu starsza tajemniczo, wskazując oczami młodszej, aby wyszła z pokoju.

— Ale cóż wreszcie? — badał zniecierpliwiony.

— A no, wróciła trochę wcześniej, nawet obiadu nie jadła. Może ten list... Przysłali z redakcyi... do niczego się nie mieszam, nie wiem...

Panna Dalecka znała już dobrze treść epistoły Van Nieckiego.

Dola leżała z oczyma nawpół otwartemi, już nie zemdlona, lecz jeszcze nieprzytomna i odrętwiała.

Doktór podniósł ją i układał na szeslongu.

— Taki kłopot—biadała panna Dalecka— jutro rano miała się wyprowadzić. Przyjdzie nowy lokator. Gdzie go pomieścić?

Dr. Derkacz mierzył temperaturę. Była niższa od normalnej.

— Na ulicę jej przecież pani nie wyrzuci — odezwał się po chwili, odpowiadając na utyskiwanie starej panny.

— Toć ma krewnych — mruknęła.

— Ubogie panny krewnych nie mają, zwłaszcza w chorobie.

— Więc cóż będzie? My przecież nie możemy być stratne.

— Co będzie? Albo ja wiem?

Zamyślił się.

— Co będzie? A no, niech panie dadzą futro i jaki szal. Trzeba ją ciepło ubrać. Zawiozę do mojej lecznicy.

— Tak zaraz?

— Toć musi ustąpić miejsca nowemu lokatorowi. Kazałem tu po siebie przyjechać. Niech służąca zejdzie zobaczyć, czy już jest powóz.

— A rzeczy? — informowała się jeszcze panna Dalecka.

— Niech je panie spakują i każą wynieść na strych.

Dola zaczynała nietylko słyszeć, ale i rozumieć co dokoła niej mówią...

— Nie, nie — szepnęła.

— Proszę je odesłać do mojej lecznicy.

— Nie chcę, nie pojadę — ja do cioci Józi — mówiła głosem zaledwie zrozumiałym.

— A cóż to za kaprysy! — zgromił ją doktór.

— Mnie już lepiej, zaraz wstanę.

— No, niech pani spróbuje. Proszę!

Oparła się na jego ręku, chciała się dźwignąć. Sił jej zabrakło.

— A widzi pani! — mówił łagodnie.

— Pan mnie odwiezie do cioci Józi. Dobrze? — prosiła, podnosząc na niego oczy bezmiernie smutne.

— Dobrze, dobrze — uspakajał ją.

Przy pomocy Małgosi włożył na nią futro, sprowadził ją ze schodów i wsadził do czekającego już powozu.

Usłyszawszy turkot, starsza panna Dalecka odetchnęła swobodniej, a młodsza wyszła z ukrycia.

— No, Pan Bóg nam pomógł! — zawołała z radością starsza.

— A czy nie kazała mnie pożegnać? — pytała młodsza, widocznie wzruszona.

— Akurat. I mnie głową nie kiwnęła. Warto było tak żywić, dbać, jak o co dobrego, o te nicpotem.

— Ej! bo siostra przesadza. Ja tam w w niej nic złego nie widziałam.

— Na czem się Tecia nie zna, o tem lepiej się nie odzywać.

— Ja przecież już nie jestem smarkata. I słyszałam także niejedno — ot, choćby wczoraj, jak Leosia szeptała z panną Eweliną, że „były i mdłości“. Niby ja nie wiem, co to znaczy.

— Patrzcie-no, jaka mądra! A nie łaska zabrać się do obszywania lisztwy? I proszę mi o głupstwach nie myśleć.

Sześćdziesięcioletnia panna Leontyna od lat trzydziestu z górą stała na straży niewinności 50-letniej dziś panny Tekli. Mimo to, po dwa razy na tydzień, we czwartki i niedziele, w obecności młodszej siostry z kilku dobranymi przyjaciółkami, gorszyła się wszystkiemi skandalami, które się działy na mieście. Obok strzeżenia cnoty siostry, było to jej najmilsze zajęcie.

. . . .

Doli zrobiło się znowu słabo w powozie. D-r Derkacz jej nie cucił. Siedziała apatycznie. Wziął ją za rękę i puls badał.

— Pan mnie odwozi do ciotki Józefy? — spytała.

— Odwożę, gdzie trzeba.

— Ale nie do lecznicy? Prawda? Ja nie chcę... Mnie ciocia przyjmie.

— Panna Jabłońska nie może pani doglądać, bo sama ledwie się trzyma na nogach.

— Jutro będę zdrowa.

— Zobaczymy.

— Panie, ja *muszę* być zdrowa!

— Zdaje mi się, że pani będzie *musiała* chorować.

— A długo?

— Z kilku tygodni, conajmniej.

— Ja chorować nie mogę — w żaden sposób.

I przy tych słowach błogie uczucie obojętności opuściło ją nagle. Rozpłakała się.

— Cicho, dziecino, cicho — uspakajał, podtrzymując ją ramieniem. — To przyjść musiało. Organizm wyczerpany do dna. Ktoś panią znowu skrzywdził. Prawda?

— Tak.

— Hr. Zdzisław?

— Nie on, nie!

— Jeszcze nie?

— On najlepszy z całej rodziny.

— Jeżeli tamci gorsi, winszuję...

Znowu oczy Doli mgłą zaszły. Ocknęła się w jasnym, obcym pokoju, na nieznanem łóżku.

D r Derkacz siedział przy niej.

— Dlaczego mnie pan nie odwiózł do cioci Józi? Tak pana prosiłam! — rzekła z wyrzutem.

— Pani potrzebuje ciągłej opieki lekarskiej. Z tego może wyniknąć poważna choroba — tłomaczył. — Panna Jabłońska niema ani środków odpowiednich, ani mieszkania. Jakżeby się panie pomieściły w tych dwóch ciupkach. Zresztą ona sama leży w łóżku.

— Wcale chorą nie jestem—to chwilowe. Leczyć się nie chcę.

— Nikt panią o to pytać nie będzie.

— Panie, ja — nie mogę chorować.

— Wiem, chodzi pani o wydatek... Jeszcze nie bankrutuję. Poczekam na zapłatę. Dola była zmęczona i omdleniem i swoim oporem. Leżała chwilę z zamkniętemi oczyma.

Doktór myślał, że usnęła i chciał wyjść Zatrzymał go cichy głos.

— Nie będę miała z czego oddać — szepnęła.

— I to mnie nie przeraża.

— Ale ja nie chcę. Ja muszę panu powiedzieć: dostałam dymisyę.

Teraz dopiero, wypowiedziawszy to głośno, zrozumiała co ją spotkało. Z odrętwiałego serca wypełzał ból i żal. Zaczęła znowu płakać.

— To dobrze! To bardzo dobrze! — mówił d-r Derkacz, zbliżając się do łóżka. — Na to właśnie czekałem. Niech pani płacze. Niech się pani dobrze wypłacze, a potem pani uśnie.

— Ja się boję! — szepnęła cichutko, jak w konfesyonale, gdy przyznajemy się do śmiertelnego grzechu.

— Będzie przy pani siedziała dozorczyni· I lampka będzie się palić.

— Dziękuję... Pan jednak dobry, ja na świecie nie mam nikogo. Ciocia Józia chora, mama daleko, a inni...

Łzy popłynęły obficie.

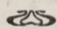
Położył rękę na jej złotych włosach i głaskał je.

— Tak, tak — mówił — ludzie źli, nad ubogą śliczną, dziewczyną każdy się pastwi, i kobiety i mężczyźni.

— Ale ja jutro rano wstanę... Pójdę do biura stręczeń — wezmę miejsce nauczycielki na wyjazd – daleko, jaknajdalej.

— Dobrze, dobrze — przytakiwał jej, jak dziecku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Współczesnej dziewczynie polskiej" odpowiedź.

(Dokończenie).

Najboleśniejszem jądrem „kwestyi dziewczęcej" u nas — jest *niedouctwo*.

Przeciętna panienka kończy pensyę, mając lat 17; dla jednych odtąd zaczyna się bywanie w świecie, życie towarzyskie, inne wprost od pulpitu szkolnego z niewyleczoną blednicą przenoszą się na krzesełka biurowe, aby od 8 rano do 8 wieczór z godzinną przerwą na obiad odrabiać codzienne pensum piśmienne za 25 rubli miesięcznie, inne wreszcie, czując niedostatki swego wykształcenia, choć bez wyraźnego planu, chwytają okruchy wiedzy na różnych kursach, wykładach i odczytach, kierując się przeważnie własnym wyborem i instynktem, meblują głowę w kilka garniturów, jak salon modernistyczny, zdobywając ponad program nieuleczalną zarozumiałość i bezkrytyczny dyletantyzm. Mała zaledwie część z ogólnej liczby dorastających dziewcząt odbiera wykształcenie gruntowne, stosownie do obranego przez siebie zawodu: artystycznego, naukowego czy pedagogicznego, a mniejsza może jeszcze przygotowywaną bywa umiejętnie do obowiązków gospodyni domu, żony, matki i obywatelki. Trzeba jednak przyznać, że z roku na rok wzrasta w społeczeństwie potrzeba i poczucie racyonalnego przygotowania kobiety zarówno do walki o byt, jak i do ułatwiania codziennego życia. Zwiększają się zastępy młodych osób świadomych swej drogi i swych celów, dlatego też propagowanie wśród szerokich kół społeczeństwa idei sumiennej i gruntownej edukacyi dziewcząt znajdzie z pewnością oddźwięk u wszystkich rozumnych ludzi, a w rezultacie może uratować wiele istot od wypaczenia i zwichnięcia.

Ponieważ zjazd niema żadnej egzekutywy, uchwały jego mogą mieć jedynie znaczenie moralne, obowiązujące tylko o tyle, o ile powagą swego tonu i racyonalnością uwag wzbudzi uznanie tych, od których przeprowadzenie reform w znacznej mierze zależy. Przedewszystkiem zaś, celem jego winno być pociągnięcie i zainteresowanie tych rzesz panieńskich, które są dotąd mało uspołecznione. Nie mam tu na myśli jedynie osób, które po za życiem towarzyskiem, zabawą, flirtem, nic nie widzą; także i między temi, co pracują wprawdzie nie na chleb, ale na rękawiczki, zdarza się mnóstwo takich, które absolutnie do żadnych nie poczuwają się obowiązków po za tą machinalną pracą, jaka im zapewnia dodatkowy dochód na bluzki, teatr i Filharmonię.

Tą kwestyę właśnie, która stanowi plagę zarobkowej pracy kobiet winien zjazd podnieść i właściwie oświetlić. Panna X., córka wysokiego urzędnika pracuje w biurze Tow. Ubezpieczeń, panna Y. daje lekcye muzyki „dla przyjemności" po 30 kop. za godzinę, panna S., kuzynka redaktora, bawi się w literaturę i zupełnie ładne kolczyki nabyła za niewysokie honorarya swoich kompilacyjek, panna M. olśniewa koleżanki swe telefonistki wytwornością swych kostyumów, sprawionych „za własne, ciężko zapracowane pieniądze". Te wszystkie panie „idące z postępem czasu" „nie zakładające rąk bezczynnie" poprostu wcale nie zdają sobie sprawy, że zabierając tyleż miejsc osobom bardziej potrzebującym zarobku, osobom, które nie mają dostatnio urządzonego domu rodzicielskiego i żyją istotnie z pracy rąk; z drugiej strony, że przez możliwość wykonywania danej pracy za bardzo niewielką zapłatą — obniżają cenę zarobków kobiecych. Jest to kwestya nader skomplikowana i trudna do rozstrzygnięcia, niepodobna bowiem ograniczyć czyjejś chęci i zdolności zarobkowania, zwłaszcza, że taki dochód dodatkowy, gwarantuje istotnie młodej osobie pewną niezależność finansową, tak bardzo pożądaną każdej samodzielnej jednostce.

Ze stanowiska społecznego wszakże należałoby zwrócić uwagę na to, że posiłkowanie się rodzin średnio zamożnych całodzienną pracą biurową dorosłych córek dla podniesienia skali życia i dobrobytu, tak bardzo rozpowszechnione, stanowi raczej objaw ujemny, a to z dwóch względów: praca taka wyczerpuje zasoby fizyczne, sprzyja rozwijaniu się anemii, szkodliwie działa na zdrowie przyszłych pokoleń, po większej bowiem części dziewczęta wychodzą zamąż; — po wtóre, gdy potrzeba chętnych, inteligentnych, rozporządzających swobodnie czasem osób do jakiejkolwiek pracy społecznej, to odczuwa się brak ogromny na każdym kroku: niema wprost tych panien, których ta właśnie działalność winna być główną troską i zajęciem; prędzej jeszcze kobiety zamężne, lub pracujące poważnie zawodowo poświęcają jakąś chwilę czasu, którego mają tak mało — dla pracy zbiorowej w stowarzyszeniach i instytucyach społecznych. Stąd oczywiście, jeżeli zdarzy się osoba, mająca byt zapewniony w domu rodzicielskim, która, rozumiejąc swą rolę w społeczeństwie, nie ugania się ani za zabawą, ani za pracą zarobkową „na szpilki", to spada na nią taki ciężar obowiązków, taki ogrom zadań, przez nikogo nie tkniętych, że podołać im wprost nie może.

Nad takiego rodzaju zagadnieniami winien by się zastanowić na obradach swych „zjazd dziewcząt", wskazując nawet drogi pracy i wypełnienia życia tym pannom, które tłumnie pchają się do dusznych nor miejskich: kantorów, biur, redakcyj, byle tylko oddychać atmosferą stolicy i utorowanym, łatwym, szematycznym iść gościńcem, zamiast samodzielnie sobie poczynając, rozpierzchać się po prowincyi, po wsiach, nieść kulturę, zdobywać nowe placówki dla pracy kobiecej na roli, w pasiece, w ogrodzie, zamiast kształcić się specyalnie na kierowniczki zakładów społecznych, których taki brak u nas daje się odczuwać przy organizowaniu każdej instytucyi.

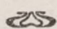
Z tego przedewszystkiem winny sobie zdać sprawę „współczesne dziewczęta", że pierwszy okres walki o emancypacyę już minął na ogół, że czas iść naprzód, pokazać co się zrobić umie, przekonać o sile i prawdziwości swych dążeń życiem, a nie wykrzyknikiem, które według przysłowia niemieckiego robią wrażenie „młócenia dawno już omłóconej słomy".

Jeżeli „projektodawczyniom chodzi o to, aby praca zjazdu dała wyniki konkretne", to program zjazdu winien być starannie przygotowany i to tak rzeczowo, aby niemożliwe okazały się wybuchy młodocianej frazeologii i bezprzedmiotowe rozhowory „o wielu rzeczach i niektórych innych".

Wobec tego, że mamy już pewien zastęp młodych pionerek o gruntownem wykształceniu i ścisłym sposobie rozumowania, zdobytym przez systematyczne studya, przeprowadzenie tak pojętego zadania, jeśli nie jest łatwe, to w każdym razie możliwe i życzyć należy gorąco, by obrady miały wytknięty kierunek, ograniczony zakres i nie zbaczały na manowce frazesu.

J. Oksza.

Czy Polki?



— Jaki śliczny kapelusik! Czy także z Torunia?

— O tak, — a i mamusia kupiła także kapelusz, i Hela, i Mania, i ten żakiecik, prawda jaki szykowny?

— Bardzo, bardzo! — ale powiedzcie jak wy to wszystko przywozicie?

— O, nadzwyczaj łatwo! jedzie się tylko w samej sukni i w jakiejś chusteczce lub koronce na głowie — a wraca się: w kilku halkach, w paru bluzkach, w kapeluszu, w żakiecie, a na nim nawet i w okryciu, z parasolem w ręce, w szaliku, w żabocie na szyi, słowem we wszystkiem, co tylko wziąć można na siebie.

I śmiech młody, wesoły zadźwięczał.

— Mój Boże, jaka szkoda że nie byłam z wami.

— Nic straconego, szykuje się znów wycieczka, to... — i resztę słów naraz stłumiła muzyka.

Rozmowę tę usłyszałam pierwszego dnia po przyjeździe do Ciechocinka — pod oknem moim o rannej godzinie.

Czy to być może prawdą? Po polsku mówiły — lecz czy to Polki? — zadawałam sobie pytanie.

Zadzwoniłam. Weszła służąca.

— Kto były te panie, rozmawiające tu przed chwilą na ławeczce?

— To z Warszawy, mieszkają na górze, mają dwa pokoje № 7 i 8.

— Jak się zowią?

— Na liście lokatorów „stoją“ — bo zapomniałam.

Wkrótce wychodzę — i najwpierw szukam owej listy i owych numerów. Znajduję. — Znane w Warszawie nazwiska, jedna z pań żona inżeniera z córką, druga żona doktora z córką i siostrą. Obie żony dwóch braci, — rodzina rdzennie warszawska, z końcówką „wski“ a mimo tego pytałam się siebie w duchu czy to rodzina polska?

Pod tym smutnym przygnębiającym wrażeniem rozpoczęłam kuracyę. Że ono było silne i bolesne, że chciałam koniecznie uwierzyć, iż te warszawianki to tylko wyjątek, śledziłam pilnie tę sprawę. Pierwsze dni pobytu nic mi nie przyniosły — w nich odwiedziłam państwa X., stale w Ciechocinku mieszkających i opowiedziałam im usłyszaną rozmowę.

Typ o niewrażliwem sumieniu warszawianek nie był im widać obcy — lecz mówiła pani X. „my i nasi wszyscy blizcy, od czasu ogłoszenia ukazu o *wywłaszczeniu*, za feniga jednego nic w Prusach nie kupiliśmy. W zeszłym miesiącu, lecząc się na zęby u dentysty Polaka, byłam cztery razy w Toruniu i oprócz poważnych ukłonów, składanych nam przez kupców znanych od lat wielu, innego z niemi nie mieliśmy zetknięcia. Hotel polski pełen jest teraz zawsze; muzeum polskie zwiedzane“. — Oto co usłyszałam u tej zacnej rodziny.

Z jaśniejszą myślą wstępowałam do czytelni w Kurhauzie i usadowiwszy się na wygodnej kanapce przeglądałam pisma i gazety — gdy — usłyszałam z ust siedzących obok mnie kobiet wyraz Toruń, powtórzony kilka razy.

Zaczęłam słuchać.

Były to półgłosem czynione radosne zwierzenia, jak tanio, jak dużo, jak dobrze, nakupowały te Polki masę rzeczy w Toruniu — i dalej słyszałam projekty jednej jeszcze wycieczki, tylko oczekują na przyjazd kuzynek z Warszawy.

I znów Warszawa... gorycz zalewała mi serce; więc sąsiadki moje z willi, to nie wyjątek — więc jest ich więcej — jest tyle, tych lekkomyślnych co biorą na siebie, „ile tylko wziąć można“.

Lecz czy nie za dużo bierzecie na swe sumienie nieopatrzne córki syreniego grodu, czy udźwigniecie ten wstyd za przeniewierstwo w łączności, w zespole, z jakim iść miałyście w zwalczaniu wroga naszego? Czy się przyznacie synom waszym i braciom do tego wystąpienia z uczciwych szeregów?

A słyniesz szeroko po świecie, poczciwa stolico nasza, z miłosierdzia, z ofiarności, z zapału... a zaczynaliśmy nawet wierzyć, że zasłyniesz ze stałości uczuć.

Żaliłam się znajomym na te puste kobiety i co raz więcej sprawdzałam faktów takiego zaniku sumienia — a słowa Orzeszkowej włożone w usta Witolda „fertki, fertki“ *), takiemi się prawdziwemi stały.

Lecz nie tu był koniec udręczeń moich i wstydu.

Zaręczano mi, że przy powrocie jednej z najliczniejszych wycieczek—wycieczek, gdzie, krwawiły się serca, drżały piersi, tłumiąc jęk bolesny, płynęły łzy czyste i święte, — gdzie wpatrzeni w prastare mury świątyń naszych, ukorzeni u grobów króli i męczennika, wskrzeszeni wspomnieniami piastowej dzielnicy, tej pramacierzy ojczyzny naszej, że, powracając z tej wycieczki, przeszło dwa tysiące rubli zostawiono w Toruniu.

Kupowały kobiety — kupowali mężczyźni.

*

* *

O wstydzie, hańbo i sromoto!
Co wzruszało te serca, te dusze, te łzy!
Co się stało z uczuciami temi?
Czy zawsze będziesz taką duszo polska?

Trzysta lat temu w strasznej pogromu godzinie wołał Żółkiewski: „Ciebie się nie tylko boję lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska! Przed tobą drżę, ty nie łacna, krnąbrna sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej sobie nie *Znana* i nikomu nie wiadoma“ **).

Czy dzisiejsza chwila nie jest także pogromu chwilą — czy przez lat trzysta przybyło nam dużo poznania siebie.

E. B.

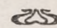
---

*) „Pokociło się“ i „dam nogę“ scena z życia dwóch braci. Wilno 1880.

**) „Duma o Hetmanie“ — Żeromskiego.

EMMA JELEŃSKA.

Jubileusz.



(Ciąg dalszy).

. . . .

— Przeklęty dzień! Przeklęta godzina!— powtórzył Roman i porwał się ż miejsca.

Już słońce weszło na czystem niebie. Ozłociły listki, zagrała tęczą woda fontanny, niebieskie, długie cienie położyły się na ziemi. Trawnik błyszczał jeszcze od rosy, a narcyzy i tulipany podnosiły główki do słońca. Już z ulicy, tam za kratą, dochodzić zaczęły ludzkie odgłosy — jakiś ciężki wóz zaturkotał na bruku.

Roman zstąpił z werandy do ogródka. Tu, blizko, wszystko spało jeszcze. Było cicho. Tylko żwir zaskrzypiał mu pod nogami.

— Przeklęta godzina! — powtórzył — a wszystkiemu ona winna — ona!

Oparł się o pień wielkiego kasztana i patrzał. Pałacyk biały i śliczny stał przed nim. Modelowały się w słońcu artystyczne gzemsy, wznosiły się leciuchne korynckie kolumny, błyszczały wielkie szyby okien, za któremi się zwieszały koronkowe firanki, lśniły niklowe okucia, otwierał się podjazd okazały, gościnny — rozkładały się strzyżone trawniki, zdobne w klomby i rabaty — wszystko świadczyło o bogactwie, o wygodzie, o wykwintnych gustach, o życiu dostatniem, pańskiem. Był gust, była wzorowa czystość, ład, porządek. Czuć tu było rękę silną a umiejętną, i pewną siebie.

Lecz ta ręka — ta biała ręka kobieca, która tu rządy trzymała, wydała mu się w tej chwili wstrętną. Powstał przeciw niej bunt w jego sercu, i zawołał: „Niechże i ona będzie przeklętą!“ I sam się uląkł tego wybuchu. — „Jakże jestem niesprawiedliwy!“ — rzekł do siebie. — „Za cóż ją, Felę, oskarżać o to, czemu ona bynajmniej nie winna. Wiedziałem kim jest — i nigdy łudzić się nie mogłem, że ją przerobię. Ona jest taką jaką jest. — To tylko ja...

Bo i jakaż jej wina? Że była przez życie całe istotą próżną, płytką i wszelkim wyższym pojęciom obcą? Wiedział o tem od pierwszego wejrzenia. Czemuż ją obwinia? Ją, co mu dała doskonałe chwile zmysłowego upojenia; co go otoczyła atmosferą wyszukanej elegancyi. — Ją, która po swojemu była doskonałą żoną, bo i dbałą, i wierną, której sława nigdy nie doznała szwanku a dobre imię było bez skazy, która swym praktycznym umysłem objąwszy odrazu sytuacyę, zrozumiała na jaką drogę wstąpić należy, aby się „wybić“, i jego na tę drogę pchnęła, która umiejętną dłonią chwyciła ster domu i rodziny i wiodła ją ku *sui generis* wyżynom — no, i przywiodła teraz, gdy wydaje córkę za Płoskiego i za jego sześć milionów. — Ją, która miała cel w życiu wyraźny — zdobycie „pozycyi“ i do tego celu dążyła wytrwale. — Ją, która

o los dzieci dbała i ustalić go usiłowała wedle wszelkich przepisów etykiety i *savoir-vivre'u*. — Ją, która i mężem przez lat dwadzieścia umiała kierować i posuwać go wciąż naprzód — coraz wyżej — coraz pewniej aż na szczyt dzisiejszego jubileuszu.

Tak, aż na dzisiejszy szczyt!

Czegoż się skarży i ją obwinia? Albożmu źle? Czegoż człowiek rozsądny więcej pragnąć może?

Ależ naturalnie... czegoż więcej, mój Boże!..

Jej — tylko wdzięczność — tylko wdzięczność... Cha, cha, cha...

Roman przeszedł się po ogródku. Cudny robił się dzień. Za kratą coraz częściej turkotały wozy. Słychać było stąpania ludzkie po asfalcie. Już i stróż koło domu rozpoczął krzątaninę. Służba wstawała także.

Roman cofnął się z pod kasztana wgłąb ogrodu. Tam, wśród rozkwitających bzów, na ławeczce usiadł.

I znowu roje myśli go napadły.

Tak, czegoż mógł więcej pragnąć? Od lat dwudziestu pracuje ciężko, to prawda, musi wystarczyć na wszelkie, niemałe, potrzeby rodziny. — Ale to zwykły los ojców i mężów. Wyjątkiem zaś jest pod tym względem, że wszystko mu się wiedzie — jako pełnomocnik hrabiego, zyskał uznanie — jako prawnik, odznaczył się umiejętnością i zdolnościami — jako redaktor Dziennika, umiał popierać zawsze to, co się najlepiej popłacało, i oparty o „najświętsze zasady“, szerząc kult szczęśliwej mierności, umiał wytworzyć dokoła Dziennika i siebie, ogromne stronnictwo. — Jako literat, jest lubiany za swoje pełne finezyi i wdzięku poezye, prawdziwe perełki artystyczne, i za wytworne artykuły, któremi się rozkoszują znawcy. Jako członek społeczeństwa, jest, mówiąc bez fałszywej skromności, jednym z jego filarów. Bez niego — ma się rozumieć, w pewnych sferach — nic się nie dzieje, absolutnie nic. On nadaje ton, on kieruje, on prowadzi. On jest wcieleniem pewnych idei, sztandarem i wyrocznią. Jako człowiek prywatny, narzekać na losy również nie powinien. Jest zdrów, bogaty, ma za żonę jedną z najpiękniejszych w Warszawie kobiet, ma dzieci, wkrótce zostanie teściem hrabiego Płoskiego, ma pałacyk w alejach, ekwipaż, służbę, dobrego kucharza, starość zabezpieczoną, i ilu chce przyjaciół.

Wielką część — może największą — tego szczęścia zawdzięcza żonie.

Więc pocóż mówić: przeklęty dzień! przeklęta godzina!

Owszem — Błogosławioną niech mu będzie godzina, w której na wieki zatrzasły się wrota do tej warjackiej jego przeszłości. — Błogosławioną niech mu będzie chwila zupełnego zerwania z mrzonkami, a wstąpienia na drogę realnej, trzeźwej, roztropnej pracy, na tę drogę gładką, prostą, moralną, udeptaną milionami nóg, z której się nie schodzi na manowce, i nie błądzi po jakichś tam ostrych szczytach. I błogosławioną niech mu będzie ta kobieta, co go wyleczyła z ewangielicznej sielanki, a wprowadziła w piękne salony, co go nauczyła cenić rzeczy wedle ich dotykalnej a nie ideowej wartości, co mu dowiodła, iż treścią wszystkiego są honory i złoto. Błogosławiony również niech mu będzie ten dzisiejszy dzień jubileuszu — dzień chwały i uwielbień!

Tak, wszakże od lat dwudziestu na tę nagrodę pracuje.

Więc czemuż teraz tak mu smutno? Czemuż dusza -- ta dawno zagubiona dusza—odzywa się w nim dziwnym jękiem — i zaczyna dźwięczeć dawno zapomnianymi tonami?... Czemu woła za czemś... czemu tęskni i rwie się... i chce gdzieś lecieć, gdzieś zginąć... Byle daleko ztąd — daleko!...

O, duszo! nie bądź głupia! Czegoż ty możesz pragnąć jeszcze?

Wszakżeś sama na to *dziś* pracowała. — Sama dobrowolnie tamtegoś się wyrzekła.— Sama dążyłaś przez lat dwadzieścia do pierwszych miejsc przy życiowym stole. — Teraz je masz. Ciesz się! ciesz się, duszo!

Nie! Smutno i smutno...

. . . .

Roman oparł zmęczoną głowę o pień drzewa i przymknął powieki. Zmęczony był. Dzień wczorajszy — uczta, mowy i toasty— wzruszenie — rozmowa z żoną i z Daisy— noc bezsenna — widziadła przeszłości.

Zmęczony był.

Oparł głowę o drzewo i przymknął powieki. I zaczęło mu się coś marzyć.

Wyszedł duch jego z ciała i szedł pustemi, ciemnemi drogami, drżący i zziębnięty. Szedł przez jakieś wielkie stepy, przez bezdroża. Szedł, i drżał, i płakał. Ale nikt mu nie odpowiedział. Widział, że dokoła jasnej lampy siedzą ludzie, bracia jego dawniejsi. Ale żaden drzwi mu nie otworzył. Więc duch jego upadł na progu — i pogrążył się w jakąś bezmierną boleść — i zapadł w jakąś przepaść bezdenną — czarną... Aż usłyszał najdroższy przy sobie głos: „Są światy, gdzie się duchy spotykają... I my kiedyś... I my, Romku...“ I ujrzał, jak najdroższa postać przesuwała się przed nim — powiewna i mglista — i wstępowała zwolna na jakieś skaliste szczyty... Tam świeciło słońce. — Ona ku słońcu szła...

Roman ocknął się. — „I my kiedyś... I my... Romku...“ — Głos najdroższy był w nim — mówił — dźwięczał — wołał. — Ach, jego wołał!...

— O, Marto, Marto! — wyszeptał — weź mnie... zabierz ztąd... unieś gdzie daleko... wysoko... ku słońcu! ku tym ukochaniom naszej młodości... ku Dobru, ku Pięknu i Prawdzie... Ach, tęskno mi... tęskno...

Wyciągnął ramiona do niewidzialnego swego marzenia.

— O młodości moja, wróć się, wróć się do mnie... Życie moje teraźniejsze, przepadnij i zgiń! Niech będę znowu czysty i dobry! Poezyo! Prawdo! powróćcie!... Zabierzcie mnie ztąd... wyrwijcie z tego bagna... Unieście tam... tam... wysoko... Och, umrzeć — wyzwolić się — otrząsnąć te kajdany... Och, umrzeć!...

Serce zamierało mu w piersiach — to trzepotało się, jak ptak. — I zdało mu się, że chwila jeszcze, a pęknie i rozsadzi cielesną swą powłokę — a duch czysty i wolny wyleci zeń, i pomknie wysoko... wysoko...

Naraz — na żwirze zaskrzypiały kroki ludzkie. Roman otworzył oczy.

Szedł ku niemu młodzieniec. Przebóg! On sam to był we własnej osobie. On sam z przed dwudziestu laty. Młody, wysoki, piękny, z falującą nad czołem jasną grzywą — z tą samą twarzą o jasnych oczach — o jasnym wąsie nad pełnemi ustami — z tym samym blaskiem w spojrzeniu, z tem samem zamyśleniem w ściągniętych brwiach. On sam to był.

Szedł ku niemu — zbliżał się — patrzał prosto w jego oczy.

Przychodził z jakiejś nieznanej dalekości — z niewiadomej krainy — upiorem tu stawał — tajemniczej widmem przeszłości— zjawą — marą...

Zstępował w promieniu słońca — młody, piękny — odrodzony...

On sam to był...

Roman zerwał się i drżeć począł. — Siebie widział, młodość swoją, wracającą do niego w ten piękny wiośniany poranek... I wyciągnął ramiona...

Widmo stanęło przed nim, tuż blizko — i spojrzeli sobie w oczy. Zwarły się ich źrenice.

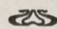
Była długa chwila milczenia.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).



Uciszenie.



Miasto umarłych. Świat spokoju, ciszy i martwoty, świat tak różny od tego codziennego, dyszącego życiem. Drzewa, krzewy: żałobne tuje, martwice cyprysy... Moc zieleni i kwiatów. Stroją niemi ludzie grobowce, cieszą się, jak dzieci, gdy wielka góra kwiecia kryje mogiłę. I mówią sobie:

— To dla tych drogich zmarłych, to dla nich.

— To dla was, — powtarzają smutne, bólem wykrzywione usta.

A mówią nieprawdę, bo czynią to jedynie dla siebie, czynią, by przed oczyma wyobraźni zasłonić potworny rozkład drogich zwłok, czynią, by dać świadectwo pamięci własnej, by goić tem, niby balsamem, ranę swych serc, dać jakowąś ulgę boleści i cierpieniu.

Dla tego samego stawiają nagrobki, wielkie, wspaniałe, olbrzymie kaplice... Pomniki... raczej pomniki nierówności społecznej... Uprzywilejowani ciężarem swego złota przytłaczają smutne prochy zmarłych. Wystawiają pomnik nie zmarłemu, raczej sobie...

— Patrzcie, — zdaje się mówić strzelista, gotycka kaplica, — czyż ta pamięć o zmar-

łych nie jest wzniosła? Jakże wielkim zaiste być musi żal pozostałych.

A przechodzień się zatrzymuje, napis czyta, ryje w pamięci nazwisko znane, cenione.

— Próżność, imię twoje, — szepcą cicho duże, stare drzewa.

— Marnością to wszystko, — wtórują drobne, słabiuchne dzieciny, trawki.

Tam oto wsparta o strzaskaną kolumnę czarnego marmuru postać dziewicza z marmuru śnieżystej bieli: drobne dłonie rozpaczliwym ruchem załamała, a łzawe spojrzenie obejmuje szlachetne prostotą linii kształty grobowca. A wokoło znowuż kwiaty. Bogactwo kwiecia, cały ogród...

Tam z cicha urąga złocisty klon, — zobaczymy, czy będą tu kwiaty za lat dziesięć, dwadzieścia — i zdaje się wskazywać pobliskie poszczerbione marmury, zczerniałe kamienie ciosowe. Okrywa je kurz i jedynie pajęczyna wątłą niteczką otacza, czepia się lśniąca i zwiewna, rzucając na ten kąt zapomniany—drobny promień życia. Czasem jeszcze zamierający, brunatno-krwawy liść jesienny z suchym szelestem na kamień upadnie. Zresztą... nikt... nigdy...

— He, he, he, — śmieje się szyderczo klon, tych marmurów nikt już w kwiaty nie stroi, a dawniej, czego tu dawniej nie było, — poufale zwierza się wiotkiej, chwiejnej trawce.

— Może wymarli, — próbuje usprawiedliwić nieobecnych drobna trawka.

— Ej, — upiera się klon, — żyją, żyją i właśnie dlatego...

— Jakże smutne, — wzdycha trawka i z żalem zwiesza swą mdłą główkę.

I wznoszą się szeregi kolumn strzaskanych, ciężko przytłaczają mogiły kamienie nagrobków, bogate kaplice zasłaniają sobą mniejsze pomniki, a między tem wszystkiem krzyże, cały las krzyży: i te proste, w drzewie ciosane, i z marmuru, i z kamienia, i z żelaza. Stoją czarne i szare, żółtawe i białe, w formie i przyozdobieniu tak bardzo różne, a wszystkie prężą w górę swe ramiona, — tu zwojem dziwacznych linij, kwiatów i rozet połamane, tam potwornie wprost zniekształcone mnóstwem ozdób, na które wysila się zwyrodniały gust sytych i pysznych.

Rzadko spotkać można, by człowiek dał wyraz swego bólu przez gest wielki, szeroki. Czasem jednak... Oto na wielkiej, potężnej fasadzie z granitu — wspiera swe ramiona sfinks okazały. Głowa jego potężna, olbrzymia. Wielkie, przepaściste oczodoły zawarły w sobie nieodgadnioną zagadkę bytu... Są pytaniem, na które silnie tajemniczo zaciśnięte usta dają odpowiedź wiecznego milczenia. Stajesz przed tym olbrzymem i chciwie wpatrujesz się w te oczy ponure. Pytać byś pragnął, lecz usta nakazują ci milczenie. Więc stoisz cichy, milczący, zahypnotyzowany potęgą myśli, która stąd bije. I nic. Żadnego znaku, imienia, sentencyi żadnej. Proste w rysunku, chropowa ściana granitu, a tam, w górze, tajemnicza głowa sfinksa. Był oto człowiek i zgasł, z powierzchni życia zniknął, w dawnej swej formie istnieć przestał. Więc po co mu teraz znaki szczególne, po co te puste dźwięki?

I kwiatów tu nie masz, wielkie tuje, skarlałe cyprysy nie otaczają grobowca. Tylko u stóp, nisko, jeden maleńki wianuszek rozchodnika.

I może właśnie dlatego, że jest tu sam jeden — przemawia silniej niż całe gaje poprzednie. Nie ręka to płatnego ogrodnika złożyła tutaj tę garść zieleni. Więc zmarły żyje w czyjejś pamięci...

Za to na innych pomnikach widnieją napisy. Napisy pobożne, chrześcijańskie. Jedne z nich dyktuje wiara, inne — zwykły, prosty szablon. „Nieutulonych w żalu“ — spotykamy najwięcej i jakby dla ironii wieje stąd większą jeszcze pustką, czczą grą słów.

Krzyże, te proste, z kamienia, mają dziwną, nieprzepartą siłę. Niedarmo to symbole męczeństwa, cierpienia i bólu. Nad skromną darniową mogiłą wyciągają swe bolesne ramiona, a widok ich serca krzepi i cichą melancholię w miejsce rozpacznego smutku w duszę leje. Brzemię smutku człowieczego zdają się zdejmować z bark ludzkich i brać na swe sczerniałe, przez kurze i słoty obłupane ramiona. Z cierpliwą pogodą znoszą sąsiedztwo wspaniałych grobowców.

Rzekłbyś, że w obec tych krzyżów wyniosłe, bogate marmury i żelaza zdają się chcieć zmaleć, ukryć swą świetność wśród drzew i krzewin.

Rozłożyste drzewa panują tu wszechwładnie, dumne, potężne w swej sile życiowej. Korzeniami wrosły w ziemię, soki z niej biorą, wyczuwają istotny kontakt z tymi, co pod ich konarami w śnie wiecznym spoczywają. To nie kamienne nagrobki, symbole próżności ludzkiej. Drzewa, to jedyne prawdziwe łączniki, wiążące słabą nitką zmarłych z życiem świata.

Król dąb, szeroki kasztan lub smukły klon przedarł oto swą siłą rozrodczą niedość szczelne sklepienie cegieł, cieniuchne włókna ciekawie w ciemnię grobu zapuścił... on się jej nie uląkł. Litośnie, jakby ze współczuciem jął obwijać kształty trumny, otaczać giętkiem swem ramieniem, aż wreszcie zamknął w silny, zwarty uścisk. I pozostają lata całe złączeni tak z sobą. Druhy dobre... dobrze im razem.

Tam zaś, w górze — słońce, światło, życie. Gałęzie drzewa tworzą zwartą kopułę nad mogiłą, od deszczów i słot jesiennych ją chronią. Drobne listki wiewem wiatru poruszane pieśń cudną o słonku, o życiu nucą. Czasem rozigra się tutaj szalony orkan. Poszum drzew jest wówczas groźny. Gniewne są olbrzymy za to, że zbyt silnym odgłosem życie mąci spokój i ciszę tego miejsca.

Jest w roku dzień jeden. Późną jesienią, kiedy sciszone drzewa milkną, stoją wpół obumarłe, smutne. Nagie, prawie bezlistne gałązki, gdy wiatr je tknie wydają dźwięk przeciągły, do jęku zbliżony. To płaczą drzewa. Płaczą za minioną wiosną i latem; płaczą że nagie, odarte z uroku swych szat zielonych stać będą musiały przez długą, mroźną zimę. Płaczą, że nie rozjaśnią swą zielenią opuszczonych mogił, że poszum ich liści nie będzie śpiewał dumki zmarłym.

Smutno jest drzewom. Lecz, że to dzień uroczysty, *dzień zmarłych*, więc w uśmiech pogody dla przyjaciół swych się stroją i resztę swej krasy, liście szare, złote i krwawe w szczodrym darze im niosą i na mogiły, dziś bardziej niż kiedy w kwiaty strojne, hojnie dar swój rzucają.

Niezwykle zaludniło się w tym dniu miasto umarłych. Gromadki większe i mniejsze śpieszą, ciemne, żałobne postacie gęsto się snują, szukają mogiły swych drogich zmarłych, a gdy ją odnajdą — przypadną do niej, z liści ją czyszczą, rzucają świeże wiązanki kwiatów, stawiają lampki.

I płoną wszędzie drobne, nikłe światełka, chwieją się i migocą, niby błędne ogniki, niby nie z tego świata duszyczki i fantastyczne, kolorowe światła lampek rzucają na ciemne płyty.

A drzewa — olbrzymy spoglądają na to, uśmiechając się pobłażliwie, w poszumie liścia spadłego zdają się szemrać:

— I po co to? po co? wy stąd odejdziecie, odejść musicie, — my tylko zostaniemy i oni — z nami..

Dużo, bardzo dużo widziały już te drzewa. Więc szemrzą pogardliwie nad niemocą wysiłków woli człowieka, chcącego zatrzymać to, co się zatrzymać nie da. Oto o ich gałęzie uderzył szloch ludzki, krzyk bólu rozpaczy. Więc szept wówczas cichy, litosny, niosą:

— Przejdzie, przejdzie i to, bo wszystko mija, ucisz się, sieroto“.

Albo:

„I czego, czego? — filozofują, — dziś, jutro, przyjdziecie tu i wy, gdy będzie kolej wasza. Czyż tu tak źle?

I ukojenie w duszę leją, a rozpacz gwałtowna w cichy smutek przechodzi.

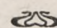
Lecz minął już dzień, i wieczór nastaje gęsty, pochmurny, mroczny. Noc idzie, noc ciemna, zimna, listopadowa. To też postacie ludzkie coraz częściej ku bramom cmentarnym zdążają. Zwolna tłum się przerzedza, światełka na grobach gasną, kwiaty, chłodem zmrożone, chylą swe główki, a delikatne egzotyczne rośliny, co w pysze i krasie swej zdobiły za dnia bogate pomniki, kurczą się, stulają z zimna cieniuchne swe płatki.

Zwolna spokój się ściele i cisza zalega i tęskna zaduma. Tylko drzewa — dobre druhy i trawki-dzieciny w zadumie stoją i ścicha coś gwarzą, coś szemrzą, to pieśń jasną swym zmarłym nucą — *pieśń uciszenia*: o przeobrażeń życiu, o zmianie form jego, wiecznych odrodzeń pieśń.

Wacława Kiślańska.



Z listów do „Bluszczu“.



Paryż, w październiku.

Nie często, zapewne, zdarzy mi się sposobność rozpocząć korespondencyę wiadomością tak pomyślną i która powinna szczerze zainteresować nasze społeczeństwo, jak ta, z jaką dziś pośpieszam podzielić się z Szanownemi czytelniczkami „Bluszczu“. Sprawa pomnika Mickiewicza w Paryżu jest rzeczą postanowioną... Sam fakt znany już jest w War-

szawie z pism codziennych, które skwapliwie powtórzyły informacyę tutejszego korespondenta „Kraju“ petersburskiego.

Do pierwotnej tej wiadomości niech mi wolno będzie dorzucić nieco szczegółów i uzupełnić. Przedewszystkiem więc słów parę o braciach Leblond, którzy, jak wiadomo, pierwsi poddali myśl wystawienia naszemu wieszczowi pomnika na ziemi francuzkiej. P. p. Marius i Ary Leblond nie od dziś są znani w literaturze francuzkiej, zanim jednak poświęcili się niemal wyłącznie krytyce literackiej, ogłaszając między innemi, subtelne i głębokie studyum o Leconte de l'Isle'u, — niepowszedni swój talent pisarski oddali na usługi drogiej ojczyźnie Francuzów — francuzkim koloniom, których życie i obyczaje odmalowali w szeregu zajmujących monografii.

Sami urodzeni na ziemi epotycznej (na jednej z wysp, należących do Francyi), zawsze mieli pociąg do życia i otoczenia, odbiegających od powszedności burżuazyjnej. Ta pogoń za epotyzmem zapędziła jednego z nich, Mariusa, do Polski, która w oczach przeciętnego Francuza jest przecież czemś bardziej oddalonem, niż np. Madagaskar lub Kochinchina. Dłuższy pobyt na ziemi polskiej zaszczepił w pisarzu francuzkim szczerą sympatyę dla naszego narodu i uznanie dla jego literatury. Owocem tych uczuć był wiadomy już projekt, którym zdołali p. p. Leblond zainteresować grono wybitnych swych współziomków.

Najpierwsze też nazwiska ze świata literatury, nauki i sztuki znajdą się na liście komitetu budowy, do czasu jednak muszą pozostać nieujawnione, choć całkowita lista została już ułożona na drugiem posiedzeniu, które przed kilkoma dniami się odbyło.

Za to dziś już mogę wymienić nazwisko przyszłego twórcy pomnika. Będzie nim Emil Antoni Bourdelle, wybitny rzeźbiarz francuzki, którego prace co rok zwracają uwagę w „Salonie“ *de la Société Nationale.* Jego również dłuta są dwa z pośród paryzkich pomników: Beethovena i Leconte de l'Isle'a. Nadto za takim obiorem przemawiał, po za wybitnym talentem artysty, wzgląd, który należało w tym wypadku wziąć pod uwagę: całkowite zrzeczenie się honoraryum. W istocie p. Bourdelle żąda jedynie zwrotu kosztów, które nie mogą przekroczyć sumy kilku tysięcy franków. Zastanawiano się również na ostatniem posiedzeniu nad pytaniem: gdzie pomnik ma stanąć? Tutaj z pośród różnych projektów, największe uznanie zyskał wskazujący na skwer przed *Collège de France* (gdzie, w sali, w której niegdyś wykładał Mickiewicz, mieści się już jego podobizna na medalionie wraz z portretami Michelet'a i Quinet'a). Naturalnie, nie jest to jeszcze decyzya ostateczna; wszakże projekt ma wszelkie widoki utrzymania się.

Gdy za lat dwa — bo taki termin wymieniają organizatorzy — na wskazanem miejscu lub na którym z innych placów Paryża stanie pomnik naszego poety — będzie to bezwątpienia, zwycięstwo, świadczące nie po raz pierwszy o żywotności naszego ducha narodowego, który i wśród obcych mocen jest rozniecać płomień zapału i czci dla swych geniuszów. Tymczasem mamy do zanotowania fakt nie mniej pocieszający wobec tak powszechnego jeszcze w szerokich masach francuzkich ignorowania i zapoznania naszych dążeń i rezultatów w dziedzinie pracy społecznej i kulturalnej. Mam mianowicie na myśli II-gi międzynarodowy kongres oświaty ludowej, który właśnie przed niedawnym czasem ukończył tu swe obrady, a gdzie, głównie dzięki staraniom p. Władysława Strzembosza, uzyskaliśmy prawo wystąpienia na równi z urzędowymi delegatami wszystkich państw cywilizowanych. Zawdzięczając tej okoliczności, następujące instytucye nasze mogły być reprezentowane w osobach swych przedstawicieli: Wydział czytelni bezpłatnych przy warszawskiem Tow. Dobroczynności (p. Wł. Strzembosz, który nadto został zaproszony, jako wiceprezes, do prezydyum kongresu i powitał zgromadzonych w imieniu Polaków, obecnych na zjeździe); Tow. kursów dla analfabetów dorosłych (panna Zofia Kruszewska); Uniwersytet dla wszystkich (p. Stanisław Kruszewski); Uniwersytet im. Mickiewicza w Krakowie (p. Ludwik Rajchman); Uniwersytet im. Worcella w Paryżu (pani Iza Zielińska). Z pośród wyżej wymienionych p. Wł. Strzembosz, p. Kruszewska i p. St. Kruszewski, złożyli referat o działalności reprezentowanych przez siebie instytucyi.

Kongres, o którym wspomnieliśmy, był zapewne jednym z ostatnich zjazdów międzynarodowych, jakie rok rocznie w różnych punktach w czasie letnich wczasów się odbywają (ostatnim, rzecz prosta — aż do przyszłych wakacyi). Bo, mimo wyjątkowo, jak na Paryż, pięknych dni i upałów, stolica zaczyna zapełniać się powracającymi do codziennych zajęć z nad morza lub z wycieczek w góry. Tych, co, korzystając z kilku wolnych tygodni, zapędzili się po za granice Państwa Rosyjskiego, za powrotem czekała wcale niemiła niespodzianka.

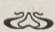
Najbardziej jej, oczywista, doświadczyli członkowie kolonii rosyjskiej i polskiej, którzy na lato do swych krajów powyjeżdżali. Grożące widmo cholery kazało Francyi przedsięwziąć surowe środki zabezpieczające, ofiarą których musieli niejednokrotnie paść i ci, których pod względem możności zawleczenia epidemii najmniej można było posądzać. Niżej podpisany wasz sługa, spędziwszy w kraju wakacye, powracał, jak to mówią, rzemiennym dyszlem, przez Węgry i Włochy, i w drodze tej kilkakroć więcej czasu strawił, niż okres 5 dni, wymaganych przez zastosowaną tu kwarantannę. Nie pomogło jednak wylegitymowanie się za pomocą biletów kolejowych i stempli z datami, trzeba się było poddać dwukrotnej wizycie lekarza, a rzeczy zaraz na stacyi oddać do dezynfekcyi. Taka jednak gorliwość urzędników widocznie nie wystarcza wystraszonym episierom francuzkim, którzy chętnie wszczynają alarm, że kraj niedbale jest przed cholerą strzeżony. W tych dniach np. „Journal“ umieścił list pewnego pana, naturalnie francuza, który oburza się na to, iż nie poddano go szczegółowym badaniom i rewizyi, gdy przejeżdżał przez trzeciorzędną stacyę pograniczną z Belgii, z kuferkiem, na którym przecie widocznie naklejona była etykieta jednego z hotelów w Petersburgu! Jegomość ów rozmyślnie nie wsiadł do pociągu, który w dalszym ciągu miał zawieźć go do Paryża, aby, pozostawszy, módz przeprowadzić śledztwo, dlaczego nie zastosowano względem niego środków, wskazanych w przepisach dla osób, jadących z Rosyi.

Przytaczam drobny ten fakt, bo znakomicie charakteryzuje on współczesnego Francuza z drobnej sfery, z taką, rzec można, lubością kojarzącego głośne hasła wolności z dobrowolną niewolą osobistą, wypływającą z umiłowania rutyny i szematyzmu.

M. J. L.



Sztuka w życiu dziecka.



Pod powyższym tytułem urządzoną została przed paru tygodniami w Towarzystwie Zachęty Sztuk pięknych wysoce zajmująca wystawa, która obudziła wielkie zainteresowanie zarówno w sferach artystyczno-pedagogicznych jak też i wśród szerokich warstw publiczności, niebywale tłumnie zapełniającej z tego powodu salę naszego pałacu sztuki.

W ostatnich latach obudził się u nas dosyć znaczny ruch, dążący do włączenia pierwiastku sztuki w życie dziecka, jako czynnika wysoce pedagogicznego i działającego kulturalnie na rozwój jego popędów twórczych, a zarazem kształcącego wrodzone każdej jednostce poczucie piękna, oraz rozwijającego jej zdolności obserwacyjne. Sztuka wprowadzona w bezpośrednie otoczenie dziecka wzbogaca jego świat duchowy, daje kanwę i wzór do samodzielnych pomysłów wypowiadania się kształtem i barwą, rozbudza drzemiące na dnie jego duszy instynkta estetyczne.

Dziecko czuje, nieświadomy początkowo, niemniej jednak silny popęd do barw żywych, rozweselających jego oko; przedmiot kolorowy, świecący, będzie celem pożądania najmniej jeszcze rozwiniętego pojęciowo maleństwa; wrodzone zamiłowanie to należy odpowiednio wyzyskać, jako ważny czynnik pedagogiczny, którego zaniedbywać nie mamy prawa. Niech dziecko od najmłodszych lat otoczone będzie przedmiotami o prostych, lecz czystych i logicznych liniach, niech oko jego spoczywa na harmonijnych, choć nieskomplikowanych zestawieniach barw, niech przyzwyczaja się ono do piękna, jako niezbędnego czynnika codziennego życia, a wzbogaci się w ten sposób jego horyzont duchowy, rozszerzy i uszlachetni bieg jego myśli.

Nie należy jednak ani chwili utożsamiać otoczenia pięknego z otoczeniem zbytkownem; wszak piękno leży w harmonii i prostocie, a nie w bogactwie i wymyślności przedmiotów. Najmniejszymi środkami, przy rozwiniętem poczuciu estetycznem można wytworzyć środowisko skromne, a odpowiadające potrzebom kulturalnej jednostki, które jednocześnie kształcić będzie zmysł artystyczny dziecka i rozwijać jego młodocianą wyobraźnię.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych, uznając ważność wychowania estetycznego młodzieży, postarał się zgromadzić na ostatniej wystawie to wszystko, co zrobiono w tym kierunku zagranicą i u nas. Zestawienie tymczasem przedstawia się dla nas dosyć smutnie; na Zachodzie najwybitniejsi artyści bowiem nie uważają sobie za ujmę komponowania zabawek i obrazów dla dzieci; ilustrują też wydawnictwa książkowe, dla młodocianego wieku przeznaczone, i stwarzają w ten sposób prawdziwe dzieła sztuki, mające jednocześnie pedagogiczne i estetyczne znaczenie. U nas zrobiono dotąd bardzo niewiele w tym kierunku, a stosunki wydawnicze znajdują się przeważnie w opłakanym stanie; po większej części do książek dziecinnych używane bywają ordynarne, brzydkie klisze niemieckie, dla taniości swej na funty nabywane; do takich bezwartościowych obrazków, obcych treścią naszemu dziecku, dorabiane bywają swojskie wierszyki i kolenda dla Jasia lub Mani gotowa.

Jeżeli zatem obecna wystawa podniesie choć trochę skalę wymagań naszej publiczności, która nie zechce dalej kupować podobnej tandety, a zacznie wymagać od wydawców rzeczy oryginalnych, swojskiemi siłami wykonanych, to zasługa urządzenia podobnego pokazu w Zachęcie będzie wielka i praca jego inicyatorów zostanie choć w części wynagrodzona.

Pierwsze kroki w kierunku podniesienia poziomu wydawnictw obrazkowych dziecinnych zostały już zrobione i niektóre z pierwszorzędnych firm księgarskich zarówno u nas jak i w Galicyi zapoczątkowały już tę konieczną, a tak pożądaną reformę, jako dowód nowego kierunku służyć mają „Klechdy i baśnie“ Kasprowicza, pięknie ilustrowane przez

Stanisława Dębickiego, wydane nakładem H. Altenberga we Lwowie, następnie przez tegoż artystę ilustrowana, bardzo oryginalna w swej szacie zewnętrznej „Bajka o Kasi i Królewiczu“ Rydla, nakład Towarzystwa wydawniczego we Lwowie, „Jasełka“ Konopnickiej z ilustracyami Jana Bukowskiego, nakład księgarni polskiej Połonieckiego we Lwowie. Jak widzimy, Lwów przoduje w tym świeżo zapoczątkowanym u nas ruchu; z warszawskich nakładców wymienić należy J. Mortkowicza „Książeczkę Halusi“, z barwnymi obrazkami Stefana Filipkiewicza i parę wydawnictw M. Arcta, ilustrowanych przez Antoniego Gawińskiego. Reszta polskich wydawnictw obrazkowych dziecinnych nie stoi, niestety, dotąd na należytym poziomie, co tem jaskrawiej zaznacza się, jeżeli porównamy je z wystawnemi wydawnictwami zagranicznemi, gdzie obrazki dla dzieci wykonali artyści tej miary, jak francuzi: Rivière, Caran d'Ache, Boutet de Bouvel, Steinlen, lub szwed Larson, albo anglicy: Cecil Aldin, Rackham, (akwaforty barwne) Britt, a nadewszystko Walter Crane, którego książka z motywami kwiatowymi do arcydzieł ilustracyjnych należy.

Wspaniałe są też francuzkie wydawnictwa bajek Lafontaine'a i Floriana, ilustrowane przez wybitnych artystów japońskich.

Prócz działu wydawniczego wystawa obejmuje szereg fryzów i „panneaux“ do pokojów dziecinnych, wykonanych przez artystów pierwszorzędnych.

Są tu autolitografie, akwaforty i drzeworyty barwne, komponowane jasno i logicznie, starające się podziałać na wrażliwą wyobraźnię dziecka wielką dokładnością i prostotą zestawienia plam barwnych, umiejętnie uogólnianych i pozbawionych wszelkich drugorzędnych szczegółów, utrudniających objęcie całości. Sztuka bowiem dla dziecka musi się odznaczać harmonią kształtu i barwy, prostotą i dokładnością wyrazu oraz pięknem nieskomplikowanem, łatwo działającem na młodociane umysły.

Warunkom tym przeważnie w zupełności odpowiadają wystawione obecnie prace; odznacza się tu znakomity fryz z siedmiu plansz C. Aldina, przedstawiający psy, kuny i kaczki o doskonale podpatrzonym wyrazie i charakterze tych zwierząt; piękne pejzaże H. Rivière'a, wytworne akwaforty Robbego, oraz pełne charakteru sceny z życia dzieci Hassala, Larsona i innych.

Ciekawie się przedstawia też dział zabawek dziecinnych, którego ozdobą jest szereg zwierząt, płasko wycinanych z desek podług rysunków Caran d'Ache'a, Dorna, Geigenbergera, Knöbla. Jest tu świetnie uchwycony ruch, proporcya i charakter tych taksów, pudli, jamników, słoni, bocianów, gęsi, kogutów, których typowe sylwetki tak zajmują i cieszą oko dziecka. W zabawkach tych uwzględniono tylko najbardziej charakterystyczne zarysy danego zwierzęcia; są też one pełne życia, proste, a nie przeładowane zbytecznymi szczegółami.

Ze smutkiem jednak znów przyznać należy, że i to jest produkcya sił obcych, nasze swojskie zabawki ubogo sie dotąd przedstawiają.

Pani L. Bierkowska nadesłała na wystawę parę górali z Zakopanego, państwa młodych z Krakowskiego, oraz hucuła i hucułkę; lalki te w swych charakterystycznych strojach, przedstawiają zajmujący materyał etnograficzny.

To samo da się powiedzieć o wyrobach zabawek imienia Blocha w Nałęczowie; są tu stołki, krzesełka i cały pokój umeblowany w stylu zakopiańskim, mogący służyć jako poglądowa nauka w tym stylu.

Zabawki z Jaworowa w Galicyi przedstawiają się nieciekawie, zwierzęta trywialne, bez charakteru, wykonane ciężko. Dział ten w przemyśle naszym wiele jeszcze pozostawia do życzenia.

Zajmującym za to i dodatnim jest plon konkursu, swego czasu ogłaszanego przez Towarzystwo Zachęty. Podług nagrodzonego wówczas projektu wykonany został obecnie pokój dziecinny, pomysłu p. St. Nowotarskiego, sympatyczny, jasny, choć może nie wszystkim potrzebom dziecka odpowiadający.

Bardzo ciekawe i artystyczne są nagrodzone na tymże konkursie afisze i projekty na illustracye do książek dziecinnych, śród których odznaczają się prace uczniów Warszawskiej szkoły Sztuk pięknych, p. Baranowskiego „Bajka Sabały“ i p. Gołębiowskiej „Baśń o rajskim ptaku“.

Dosyć luźny związek z wystawą ma znajdujący się tu szereg samodzielnych rysunków dzieci do lat dziesięciu; stanowi on jednak namacalny dowód wczesnego przejawiania się twórczości w dziecku i jako taki, może służyć za materyał do studyów nad jego psychologią dla badaczy-pedagogów.

Wogóle całość wystawy tej musi obudzić poważne zainteresowanie się śród myślącej publiczności; posiada ona bowiem głębokie znaczenie zarówno artystycznej, jak też i pedagogicznej natury.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.

Z sali odczytów.

Dnia 22 b. m. w sekcyi wychowawczej Towarzystwa hygienicznego i Muzeum, odbył się odczyt d-ra Hewelke „O wychowaniu jedynaków“. W jasnem i treściwem przemówieniu zestawił d-r Hewelke dane naukowe i doświadczalne o charakterze dzieci, poniekąd anormalnych, jakiemi są jedynacy. Dziecko, pieszczone najczęściej zbytnio przez rodziców, widzących w niem całe szczęście życia, źle zahartowane fizycznie wskutek ciągłych obaw o zdrowie jedynaka — bywa jeszcze w dodatku pozbawione dobrego, naturalnego czynnika jakim jest towarzystwo rówieśniczego rodzeństwa. Jedynak przebywa ciągle w towarzystwie starszych, rozwija się wskutek tego wcześniej, a otoczenie widzi w tym rozwoju pewną cudowność i do reszty psuje mu łcom w głowie. Pozatem starsi niezawsze zajmują się dzieckiem i wskutek tego pozostaje ono samo. Ta samotność najgorsze właśnie wywiera skutki. Rozbujała fantazya dziecka nie rozproszona zabawą z rodzeństwem, stwarza najdziwaczniejsze obrazy, dochodzące do halucynacyi. Były wypadki takiego samoomanu, w którym dziecko wytwarzało sobie w wyobraźni towarzysza, przebywało z nim ciągle, bawiło się i rozmawiało, jak z realną osobą. Często też w samotności dziecko zwraca się ku zagadnieniom erotycznym i rozwija się przedwcześnie płciowo. Wszystkie te czynniki fatalnie wpływają na rozwój zdrowia i umysłu dziecka, to też rodzice jedynaków powinni wziąć to pod specyalną uwagę, przedewszystkiem dzieci nie rozpieszczać, dbać o zahartowanie ich zdrowia, starać się o zastąpienie rodzeństwa towarzystwem rówieśników i wcześnie oddawać dzieci do szkół publicznych.

N. J.

Towarzystwo wychowania przedszkolnego łącznie z komitetem Zachęty Sztuk pięknych, korzystając z dużego zainteresowania się publiczności obecną wystawą „Sztuka w życiu dziecka“, postanowiło urządzić szereg odczytów na tematy pokrewne z przewodnią myślą danej wystawy. W ubiegłą niedzielę w sali zbiorów muzealnych Zachęty, wobec licznie zebranych słuchaczy odbyły się dwa pierwsze odczyty p. Antoniego Gawińskiego i p. Maryi Gerson-Dąbrowskiej. Pan Gawiński obrał sobie jako temat: „Dziecko w obliczu sztuki“ i w krótkiej, ale bardzo bogatej w treść pogadance mówił o bujności wyobraźni dziecka, o jego wrażliwości na linię i kolor, podkreślił zamiłowanie dziecka do stylizacyi, oraz zaznaczył jak ważne znaczenie pedagogiczne mają illustracye do książek dziecinnych; barwny język, oryginalne oświetlenie przedmiotu i duży zapał do wypowiadanych idei nadały nieprzeciętne cechy temu odczytowi. Następnie p. Gerson-Dąbrowska z przejęciem mówiła o znaczeniu modelowania w kształceniu dzieci, i wskazywała potrzebę prowadzenia ćwiczenia tego równolegle z rysunkiem, jako bardzo pożytecznego w rozwoju umysłowym dziecka. Odczyt ten niejedne dobre ziarno mógł rzucić w myśl słuchaczy.

W niedzielę d. 1 listopada, o g. 1-szej odbędą się w Zachęcie dwa odczyty: Maryan Massonius mówić będzie o „Twórczości w życiu dziecka“, a Zofia Skorobohata-Stankiewicz o „Nauce rysunków, jako czynniku ogólnokształcącym w wychowaniu dzieci“.

(sk. st.).

Chwila bieżąca.

— Prezes Dumy, Chomiakow, przesłał zawiadomienie do pałaci Taurydzkiego, iż przybędzie on 9 b. m. (st. st.) i na drugi dzień naznacza posiedzenie prezydyum Dumy państwowej.

— Przy omawianiu preliminarza w ministeryum oświaty na naradzie wstępnej, poseł Biełousow zwrócił uwagę, na brak tak poważnej pozycyi, bo wynoszącej 600 tys. rubli, którą to zmarły Ponomarew zapisał na szkoły w Irkucku. Pzzedstawiciele ministeryum zobowiązali się do wyjaśnienia tej kwestyi.

— W Petersburgu krążą pogłoski co do powrotu hr. Wittego ze Szwajcaryi dla objęcia przedstawicielstwa Rosyi na konferencyi międzynarodowej z powodu aneksyi Bośni i Hercogowiny. Konferencya odbędzie się prawdopooobnie w Baden-Baden jak donosi „Neue Freie Presse“.

— Dla omówienia taktyki w zbliżającej się sesyi Dumy państwowej frakcya parlamentarna K.-D. odbyła naradę d. 1 października (st. st.).

— Frakcya październikowców również odbyła naradę w mieszkaniu Guczkowa. Postanowiono okazać poparcie i współdziałanie grupie studentów świeżo zorganizowanej partyi studentów-październikowców.

— Według gazety „Nowaja Rossija“ w Petersburgu wzrasta przerażająco liczba samobójstw. Od stycznia do sierpnia r. b. zaszło 813 samobójstw oraz zamachów na życie.

— Zmarł w tych dniach generał Orłów, sławny pogromca powstania w r. 1905 w kraju Nadbałtyckim.

— W Tokio zakończył życie marszałek Nodzu, znany wódz armii japońskiej podczas wojny japońsko rosyjskiej. W pogrzebie przyjmie udział eskadra amerykańska.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 13-ty tomu II powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

Do bieżącego numeru „Bluszczu“ dołącza się **tablicę krojów**, która **mylnie została pomieszczoną w treści N-ru 42-go**, oraz prospekt wielkiej bezpartyjnej gazety popołudniowej p. t. **„Dzień“**.

M-me Marcèle współpracowniczka pism w działach higieniczno-kosmetycznych otworzyła

Gabinet Kosmetyczny

w Warszawie, Warecka 5 m. 4, od 11-ej do 3-ej i od 5-ej do 7-ej.
1074

Perfumy o wykwintnych zapachach

909 Coeur de Carmen | Violette
Idéal | Muguet

Kompozycyi i wyrobu własnego

Apteki M. Malinowskiego

Nowy-Świat 35, w Warszawie.

A. Callier 997

Hygiena Piękności

Praktyczny poradnik dla prawdziwie eleganckich kobiet.

Do nabycia: *Karton Rb. 2*

w KRAKOWIE
D. E. FRIEDLEIN, Rynek 17.

w WARSZAWIE
E. WENDE i S-ka, Krak. Przedm. 9.

Zmarszczki z twarzy usuwa

ABARID

975

wyciąg z cebulek białej lilii (Lilium candidum)

Perfumerya „PERFECTION" Szpitalna 10.

Wanny do parowania i przyrządy do samomasażu twarzy
Systemu **Anglika Millera**
Wyłączna sprzedaż w Magazynie ko-
980 smetyczno-perfumeryjnym.

W. Paszkowskiego

Marszałkowska № 109 przy Chmielnej

Ceny: Wanna z kloszem szklannym **12 r.**
„ z kloszem satynowym **7 r.**

Na prowincyi **przy kolei sprzedam sklep** dogodnie **konfekcya damska, męska.** Wiadomość: Warszawa, Chmielna 43 m. 22.

Magazyn pościeli

KAROLA SZWEMBERGERA

Wytworne materace, kołdry, poduszki oraz wszystkie artykuły w zakres pościeli wchodzące, gotowe i na obstalunek. Dokładność wykończenie. Ceny przystępne. 1095

Warszawa, ulica Nowy-Świat 49.

946

Największa fabryka gorsetów

„Aurelja"

Pierwszej w kraju
Mistrzyni Akademji Paryskiej

Chmielna 29,
Telefon 72-62.
Fija Elektoralna 47, Tel. 81-51
w Warszawie.

1100 **NOWOŚĆ KOSMETYCZNA!**

Puder perhydrolowy

Aptekarza Kwiatkowskiego

Przeciw świeceniu się twarzy. Wybiela, matuje niweczy, żółte plamy i liszaje. Skład główny **Perfumerya Paszkowskiego** Marszałkowska 109.

Księgarnia

GEBETHNERA i WOLFFA

otrzymała na skład główny:

Gawalewicz M. **Dwie baśnie. I Synowie Laokona** (ze snów na jawie). II Jak się głupi Janek kochał (wierutna bajka) . . . . 1—
Gomulicki W. **Zakazane** . . . . —75
Grubiński W. **Pijani.** Dramat w 4-ch aktach . . . . 1—
Uczta Baltazara-Opowieść . . . . —75
Tetmajer-Przerwa Kazimierz. **Na skalnem podhalu tom III** . . . . 1—
Nowaczyński A. N. **Staroscic ukarany czyli niedole Zoila.** Tragikomedya, z czsów Stanisława Augusta. W czterech aktach . . . . 1—
Rapacki Wincenty (Syn). **Humoreski.** Z rysunkami Józefa Rapackiego . . . . —75
„Żona pożyczona". Humoreska. Tłom. przez Z. G. . . . . —50
Kuszell W. **Kapitał i ziemia** . . . . —75
Gorkij Andrejew-Korolenko. **Godziny więzienne.** Zakazane utwory Gorskiego, Andrejewa i Korolenki. Przełożył Józef Mondschein . . . . —75
Historja Rewolucyi polskiej w roku 1794. Z przedmową Wiktora Gomulskiego 2 tomy 1.50
Lemański J. **Nowenna** czyli dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu . —75
Loti P. **Rozczarowanie.** Powieść z życia współczesnych haremów tureckich. Przekład M. Łaganowskiej. 1.20
Niemojewski A. **Epcka eunuchów** nad wodami rzeki Idiglat . . . . —75
Hoffman E. T. A. **Złoty garnek.** Bajka nowożytnych czasów. Przekład Jana Kleczyńskiego . . . . —75
Dehlke P. **Opowiadania budhyjskie.** Zniemieckiego oryginału przełożył Wojciech Szukiewicz . . . . —75
Chantepleure G. **Przygoad panny Heni.** Nowela Przekład z francuskiego Zof... Sok... . . . . —30
Adams M. **Wyznania kobiety.** Romans spolszczony przez Gustawę Gawalewiczównę 2 tomy . . . . —80
Lange A. **Zbrodnia** . . . . —75
Różycki Z. **Serdeczna skarga.** Poezje. Serja VI . . . . —75
Sigurd (A Hedenstierna) **Donna Elwira** i inne humoreski. Z oryginału szwedzkiego przełożył Konstanty Bukowski . . . . 1—
Szukiewicz W. **Odrodzenie etyczne** (z rozmyślań idealisty o rzeczach realnych) . —75
Uryasz A. **Fragmenty** . . . . —75
Winawer B. **Notatnik Szymona de Geldern** . . . . —75
Vorst Van **Robotnice W Stanach Zjednoczonych.** Z przedmową prezydenta Roosevelta. Przekład J. P. . . . . 1—
Sawienkowowa Z. **Lata krzywdy.** (wspomnienia matki). Z rosyjskiego przełożył E. Słoński . . . . —75
„Komplet nowości wybitnych autorów" 20 tomów . . . . 6—
„ „ „ „ „ . . . . w opr. 8—

(Do nabycia we wszystkich księgarniach).

Schronienie biednych Szwaczek

Otworzyło pracownie sukien damskich, bielizny, oraz haftu białego. Wszelkie obstalunki wykonywa sumiennie po cenach umiarkowanych. Prosi o łask. względy szanow. Klijenteli
Włodzimierska Nr. 9 m. 8.

Firanki

Hafciki do bielizny, koronki klockowe, Walansieny bardzo tanio
1105
E. MIRECKA
w Warszawie, ul. Krucza Nr. 46, mieszkania 4.

52 №№ tygodnika, mieszczące w sobie 1700 kolumn druku, oraz 600 karykatur i rys. aktualnych.

Bezpłatny dodatek: książka z karykaturami—500 str.

4 ruble na rok z przesyłką w całem PAŃSTWIE,

W dalszym ciągu przyjmowaną jest prenumerata na jedyne, najciekawsze w Rosji, dzięki swej dowcipnej treści

Tygodniowe SATYRO-HUMORYSTYCZNE pismo

„SATYRA i HUMOR"

(„Satira i Jumor").

W piśmie zamieszczane będą przeważnie **nadzwyczaj dowcipne** wiersze, artykuły prozą zamieszczane będą tylko w tym wypadku, gdy będą niezwykle ciekawe w politycznem lub innem znaczeniu i łatwe do czytania (naturalnie nie błahostki). Wiersze w „Satyrze i Humorze" będą pełne znaczenia politycznego lub innego, pisane **lekko a dowcipnie**; będą one niezapomniane, jako wspaniałe obrazy wszystkich ciemnych spraw, które się działy i dzieją w Rosji; będą one niezwalczenie działać na czytelnika, dając mu mnóstwo wrażeń i przyjemności; one jak dzwon alarmowy budzić będą nawet uśpione serca, będą bogate swemi motywami współczesnymi, będą odpowiadać na palące kwestje dnia dzisiejszego, będą ucieleśnieniem wielkich uczuć sprawiedliwości i oburzonego protestu, przeciwko ustalonemu w życiu politycznemu i ekonomicznemu uciskowi; będą wreszcie **wydobywać na światło dzienne** wszystkie sprawy tajemnicze, tak famílijne, jak i publiczne „wielkich" i „małych" ludzi.

Wobec tego, że w tygodniku biorą udział najbardziej utalentowani współpracownicy, redakcja, aby dać możność zapoznania się **z bogatą treścią pisma** i zapisać się na listę prenumeratorów ludziom niebogatym, zgadza się, żeby **nauczyciele ludowi i urzędnicy za poręczeniem swych kasjerów wnosili pieniądze po upływie każdego kwartału.**

Cena prenumeraty z dostawą i przesyłką 4 rb. rocznie.

Wszystkim wiadomo, iż nigdy pisma satyryczne i humorystyczne nie osiągały takiej liczebności, jak w roku ubiegłym i w 1908 i nigdy nie było dla nich tylu odpowiednich tematów i podobnej swobody rzetelnego oświetlania wszystkich ważniejszych wypadków życia bieżącego.

Każdy, bez wyjątku, pragnie i powinien w życiu poznać wszelkie wypadki historyczne, **rzetelnie i z talentem** oświetlone przez pisma satyryczne i humorystyczne—nie każdy jednak miał możność nie tylko kupienia ich, lecz i przeczytania.

Wobec tego Redakcja tygodnika „Satyra i Humor" da wszystkim swym **prenumeratorom** w postaci dodatku bezpłatnego książkę pod tytułem **„Dowcipniś".**

Do książki tej wejdą **wszelkie najbardziej dowcipne wiersze satyro-humorystyczne, anegdoty i ogłoszenia** starannie wybrane z wszelkich egzystujących pism satyrycznych i humorystycznych z lat 1906 i 1907 i z roku bieżącego. Utwory zamieszczone w książce powyższej dzięki swemu dowcipowi, elegancji i pikanterji będą jedyne w swoim rodzaju. Książka **„Dowcipniś"** będzie nierozłącznym przyjacielem prenumeratorów w troskach i weselu; **jest ona niezbędna dla wszystkich osób, pragnących być dowcipnymi,** gdyż stać się dowcipnym można tylko przez czytanie **utworów dowcipnych.**

Redakcja prosi Pp. czytelników donosić o wszelkich wybitniejszych przejawach życia bieżącego, a również nadsyłać utwory dowcipne w duchu satyrycznym lub humorystycznym i o ile okażą się one odpowiednie do umieszczenia w piśmie, autorowie ich otrzymają **największe** wynagrodzenie autorskie. Mogą być również dołączane fotografje, które po reprodukcji będą z wdzięcznością zwracane dostawcy.

Zmiana adresu—bezpłatnie.

Cena prenumeraty rocznej 4 rb.

Redakcja tygodnika „Satyra i Humor": St.-Petersburg, Ruzowskaja 35.

W celu przekonania się proszę zażądać № próbny za markę 10 kop. (left margin)

W celu przekonania się proszę zażądać № próbny za markę 10 koo. (right margin)

W celu przekonania się proszę zażądać № próbny za markę 10 kop. 1104

FABRYKA

Wyrobów Platerowanych
i Srebrnych 84-ej próby

Warszawa, Elektoralna 753/16

Józef Fraget

SKŁADY

Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Zakład Dezynfekcyjny

Szeroka № 26 na Pradze

Zamówienia przyjmuje **wyłącznie SKŁAD APTECZNY**

Wacława i Leona RÓŻYCKICH

Krakowskie Przedmieście №. 17. Telefon 411. 1106

Magazyn Mód pod firmą

A. SUSKA

Wierzbowa Nr. 6

Poleca modele z pierwszorzędnych domów, oraz wielki wybór Kapeluszy i Nowości sezonowych.

Ceny przystępne.

Szkoła Kroju i Szycia

M-me Mercère Nowy-Świat 42. Kursy ogólne i specyalne 1089 genree taillur. Kurs bielizny z prawami Cechowemi.

Medale Złote na Wystawach Hygienicznych 880

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

Patent. **MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA**

PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE Oszczędza 50% opału

nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki bezpłatnie.

Ostrzega się przed nieudatnemi naśladownictwami.

Tel. 1502. **Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem.** Al. Jerozol. 71.

SANATOGEN



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

zdenerwowanym i pozbawionym energii życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 5000 lekarzy i profesorów. Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

1030

KOMATOL

1102

Najlepszy płyn na wzmocnienie włosów, usuwa łupież i nadaje włosom połysk. **Zatwierdzony przez Radę lekarską za № 541.**

Główny skład ul. Złota № 36 m. 10.

Szkoła Rzemiosł, Rysunków i Malarstwa

MĄCZYŃSKIEJ–METHAL **Mazowiecka № 11, m. 7.**

Roboty nauczycielskie. Slöjd wiórkowy, sznurkowy, drzewny, koszykarski, glina. Hafty białe, artystyczne. Malarstwo, rysunki, wypalanie, snycerstwo. Uczennice otrzymują z robót nauczycielskich, Slöjdu, krawieczyzny, bielizny, haftów świadectwa cechowe i patenty szkolne z prawami. Kursy ranne i wieczorne. Pensyonat. 1034

FABRYKA POŃCZOCH I TRYKOTAŻY

Z. MENTZEL

Świętokrzyska № 9.

Poleca jako **NOWOŚĆ:** ubranka trykotowe dla chłopców bardzo ładne i nieograniczenie trwałe.

Żakiety damskie „Swaeters", Bluzki „Golff". 1096
Pończochy, Skarpetki czarne i fantazyjne bez szwu.
Pończoszki z potrójnemi kolankami bardzo trwałe.
Koszulki, Kalesony wełniane, bawełniane i jedwabne.
Koszulki, Kalesony Hymalaja i wielbłądzie, jedyny środek od Reumatyzmu.
Majteczki damskie, dziecinnne, ciepłe, czarne i kolorowe „Reform".
Kaftany, Kamizelki męskie i dla chłopców.
Sukieneczki, Kaftaniki, Buciki włóczkowe i pirenejskie.
Kamasze, Stylpy i Rękawiczki męskie, damskie i dziecinne.
Garnitury do gimnastyki (Sokole).
Spódniczki ciepłe wełniane i pirenejskie.
Chustki, Szale i Kaptury.– Chusteczki webowe i batystowe.

Towar wyborowy. – Ceny bardzo nizkie i stałe.



Pierwsza w Kraju Fabryka LALEK be-be. Główki nietłukące się, Peruczki trwałe a także i z naturalnych włosów, Korpusy skórzane i z tkanin oraz **Głowy** woskowe do okien wystawowych przyjmuje się reperacye lalek i zabawek **S. Rosenthal**, Warszawa, **Marszałkowska 96**, Filja ulica **Długa 25**.

OCHRONIARSKIE i pedagogiczno-freblowskie Kursy dla nauczycielek, wychowawczyń przy szkole freblowskiej *Wiktoryi Jędryczkowskiej* Ciepła 4.

Współudział pierwszorzędnych sił, slöjd, koszykarstwo, haft, rysunki. Po ukończeniu świadectwa, posady. 1068

50%

oszczędności na paliwie dają

Kuchnie

całożelazne, typu belgijskiego, bez fajerek. Cała Ameryka, Anglia, Belgia i t. d. tylko takich kuchni używają.

Katalogi illustrowane.

na żądanie bezpłatnie wysyłają natychmiast 1081

Wyłączni Przedstawiciele:

F. Załęski & S-ka

Warszawa, Chmielna 26.



Ostatnie słowo gry mechanicznej!

ANGELUS

Angelus-Orchestral.
Angelus-Melodant.
Angelus-Piano.

Wyłączna Reprez. na Król. i Cesarst.

HERMAN i GROSSMAN

Mazowiecka 16.

Cenniki gratis.

PETERSBURG. MOSKWA.

A N G E L U S

Cechowa Szkoła kroju

Karpińskiej

Krój bielizny. Pensyonat.

Żórawia 12. 1069

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielki.

Warszawa, Moniuszki 7. 1018

Zakład ogrodniczy

JULJANA KUSZEWSKIEGO

63 Marszałkowska 63, tel. 113—22.

Posiada wielki wybór kwiatów, tak doniczkowych jak i ciętych, bukiety, wieńce, ślubne wiązanki i t. p. nadzwyczaj tanio.

Uprasza się uważać na firmowe znaki.

967 ***Filii nie posiadam.***

Szkoła haftów Artystycznych

HELENY POTHS

Nauka haftów **Obrazowych portretowych** dekoracyjnych, stylowych, Kościelnych i białych. Rysunki, malowanie wzorów. Lekcje w domu, na mieście. Obstalunki. **Hoża 22. m. 18.** od 12-tej do 5-tej.
1110

Biuro Pedagogiczne

„Załęski"

Mazowiecka 3.

959 **Telefon 42-14.**

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony Niemki, Angielki.

Sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

Hygieniczny **„Puder Płynny Paryżanek"**

Labor. Paryskiego dezynfekuje i udelikatnia cerę. Skład główny: Warszawa Kremky (perfumerya Siou) Marszałkowska 116.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.** **Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.**